Rok IV. Nr. 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Październik.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy
1898.

TREŚĆ ZESZYTU.



Phot Th. Migneaux Héliog. Dujardin

Imp Ch Wittmann

Siostra Anna Ginoux de Fermon

Siostra Miłosierdzia.

Niedawno ukazała się biografia Siostry Ginoux, jednej z wielu ofiar strasznego pożaru Bazaru miłosierdzia w Paryżu. Annales francuskie podają krótkie streszczenie tego pięknego żywota, którego tłómaczenie podajemy tutaj naszym czytelnikom.

I. Wiek dziecięcy.

Anna Marya Noemi Joanna Ginoux de Fermon urodziła się w zamku de Neuvy en Saulme w departamencie Orne 2 lipca 1863. Ojcem jej był wicehrabia Ginoux de Fermon, szambelan Jego Świątobliwości papieża Leona XIII i radca główny departamentu Dolnej Loary, człowiek pobożny — wielkiej prawości i nadzwyczajnego poświęcenia dla wszystkich dzieł katolickich. Jej matka, z domu de Mamoury de Croisilles, gbęboko religijna i ożywiona tąż samą gorliwością co jej mąż dla spraw Kościoła i biednych, z nadzwyczajną a nieustanną troskliwością wychowywała swe dzieci. Jej rodzina mieszkała przez część roku w Paryżu, lato przepędzała w Normandyi u rodziców matki, lub także w Bretanii, w stronach rodzinnych pana Ginoux de Fermon.

Anna była nadzwyczaj delikatnego zdrowia, które wymagało dużo czujności w wieku dziecięcym; matka

chciała ją sama karmić i sama także zajęła się wychowaniem jej i trzech jej braci, aż do chwili, kiedy pewien czcigodny kapłan zajął się jako nauczyciel kierownictwem córki i jej brata Raoul. Przez trzy lata z nim pracowała; ponieważ była bardzo zdolna i pojętna, czyniła szybkie postępy i już wtedy jej pobożność, łagodność i duch zaparcia się siebie zadziwiały wszystkich, którzy tylko do niej się zbliżali. Poczciwy proboszcz parafii, szczery przyjaciel rodziny, mówił często jej matce: „Nie zauważyłem nigdy uchybienia w pannie Annie". Otaczała swych braci miłością i troskliwością. Później, kiedy bracia wstąpili do kollegium Jezuitów w Paryżu jako eksterniści, opuścił nauczyciel dom, Anna zaś kończyła dalsze swe studya pod okiem matki z tą samą gorliwością i powodzeniem.

Można sobie wyobrazić, jakie było wychowanie tego drogiego dziecka na łonie rodziny tak na wskróś chrześcijańskiej i jak głębokie wrażenie stąd zachowała przez całe życie. Tam przejęła się poczuciem obowiązku, które zostało już na zawsze w jej prawem sumieniu, oświeconem wiarą; tam nauczyła się pełnienia cnoty stałej, przejęła się tym duchem miłosierdzia i wielkiej delikatności, która nigdy nie odłącza własnego szczęścia od szczęścia drugich.

II. Powołanie.

Czytając podczas rekolekcyi żywot Wielebnej Ludwiki de Gras, uczuła wtedy poraz pierwszy powołanie na siostrę miłosierdzia.

Chociażby ojciec i matka byli najpobożniejsi, mimo to zawsze uczują gorycz ofiary, kiedy nadejdzie chwila rozłączenia się z dziećmi.

Jako ostateczną pociechę przed rozłączeniem się, postanowili państwo Ginoux de Fermon odbyć podróż do

Rzymu, celem otrzymania błogosławieństwa Ojca św. dla ukochanej swej córki. Towarzyszyli im w tej podróży brat starszy i ciotka Anny. Leon XIII, znający osobiście p. Ginoux, przyjął całą tę rodzinę z ojcowską łaskawością rano po mszy św., i rozmawiał poufnie o tem, co ich się dotyczyło. W czasie rozmowy odezwał się p. Ginoux ze wzruszeniem: „Ojcze św., oto ta córka moja chce nas opuścić“. — „A dokądże chce iść?“ — „Pragnie wstąpić do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia“. — „Ach! pozwólże jej tam iść, wybór jej doskonały, błogosławię jej z całego serca mego; Bóg ją tam chce mieć, nie opieraj się temu“. A przywoławszy bliżej do siebie pannę, patrzał długo na nią i rzekł jej: „Moja córko, będziesz się za mnie modliła; ja bardzo lubię siosty św. Wincentego à Paulo“.

Błogosławieństwo Papieża było prawdziwem błogosławieństwem Bożem; pocieszyło rodziców, dając im zapewnienie, że córka ich jest powołaną do życia zakonnego; w przyszłej Siostrze Miłosierdzia powiększyło miłość ku temu powołaniu, bo widziała jak bardzo je ceni Zastępca Jezusa Chrystusa.

III. Życie w Zgromadzeniu.

Anna wstąpiła do postulatu w domu d'Enghien w miesiącu maju 1885 r. Dom ten był jeszcze pod świeżem wrażeniem pokornej Siostry Katarzyny Labouré, powierniczki Przeczystej Panny, od której otrzymała polecenie wybicia cudownego medalu. Podczas postulatu, następnie seminaryum na ulicy du Bac, a wreszcie podczas pobytu w domu św. Trójcy w Paryżu okazywała zawsze swą pobożność, łagodność, poświęcenie. Roku 1888 przeniesiono ochronkę św. Trójcy do Raincy blisko Paryża. Tam dalej prowadziła swe dzieło

i pozyskała serca wszystkich. Pobożna była jak anioł, najszczęśliwsze były dla niej chwile, które mogła przepędzić u stóp tabernaculum, a kiedy oderwano ją z tej lub owej przyczyny od modlitwy, wychodziła z kaplicy i rozmawiała z tąż samą pogodą duszy, jaka się na niej odbijała podczas modlitwy.

Kiedy w roku 1894 przełożona domu w Raincy umarła, przeznaczono ją pomimo młodego wieku na ten urząd.

Kiedy się p. Ginoux de Fermon dowiedział o zamianowaniu córki przełożoną, był niewątpliwie ucieszonym z powodu zaufania, jakie w niej pokładali przełożeni Zgromadzenia, lecz w swym głęboko religijnym duchu lękał się odpowiedzialności, którą jeszcze zwiększało niedoświadczenie i młodość. Pisał więc do niej dnia 7 lipca, że nie patrzy bez obawy na odpowiedzialność jaka spadła na nią; przypominał jej, że jej pierwszym obowiązkiem jest dobroć i prostota względem wszystkich, tak jak dotąd; że powinna dbać o poszanowanie dla reguły, lecz z łagodnością i sprawiedliwością; że nie powinna nigdy zapomnieć o staraniach, jakiemi ją zawsze otaczały siostry, i dodał:

„Ze spokojnem sumieniem mówię, że nic nie uczyniłem ani nie powiedziałem takiego, przezcobym dał poznać, że dla ciebie pragnę tego zaszczytu; jesteśmy z tego dumni; lecz nie trać nigdy tej prostoty, która była ozdobą wieku twego dziecięcego i ona to właśnie zjednała ci to zaufanie twych przełożonych“.

IV. Śmierć w Bazarze Miłosierdzia.

Kiedy przeniesiono ochronkę z parafii św. Trójcy do Raincy, nie mogły Siostry Miłosierdzia zapomnieć o biednych, którzy są pierwszym przedmiotem ich po-

wołania; zaledwie zostały instalowane, zaczęły ich odwiedzać i usługiwać, o ile tylko szczupłe zasoby na to zezwalały. Siostra Marya Ginoux — znano ją w Zgromadzeniu pod imieniem Siostry Maryi — postanowiła zachęcić panie z parafii do wspierania ubogich, najprzód, aby przysporzyć ubogim zasobów, a powtóre, aby rozbudzić w tych paniach zamiłowanie do pełnienia uczynków miłosierdzia. Za zgodą więc proboszcza urządziła westyarnię, dokąd co tydzień miano się zbierać, celem wysłuchania konferencyi lub czytania pobożnego i celem szycia odzieży dla biednych.

W tym także celu, wsparcia biednych, przybyła Siostra Marya Ginoux 4 maja 1897 do Bazaru z jedną towarzyszką siostrą Wincentą Dehondt. Wszystkim znane szczegóły pożaru strasznego z dnia 4 maja 1897.

W pożarze tym zakończyła życie Siostra Marya. „Nie zapomnę nigdy, powiedział pewien sierżant do jednej damy, wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta młoda Siostra, zmarła w Bazarze miłosierdzia. Widziałem jak wszelkiemi siłami, z niewymownym spokojem pomagała wielu ludziom do wyjścia i zapewniam, że wybawiła wielu, ktorzy inaczej byliby musieli również zginąć bez jej pomocy. A kiedy nagle i ją otoczyły płomienie tak, iż nie było sposobu wyjścia, rzuciła się na kolana, mając w ręku różaniec i z oczami podniesionemi w niebo, modliła się. Wyraz jej twarzy nabrał cechy nadziemskiej; możnaby powiedzieć, że już była w niebie“. Pewien młodzieniec zraniony w czasie pożaru, tak mówił w szpitalu Siostrom o tym wypadku: „Myślę ciągle o Siostrze, którą widziałem modlącą się w klęczącej podstawie; zdawało mi się, że to anioł wśród tych płomieni“.

Parafia Raincy czułaby się szczęśliwą z posiadania ciała Siostry Maryi Ginoux; lecz rodzina pragnęła po-

grzebać te szanowne szczątki w grobowcu, w którym spoczywały już zwłoki jej ojca, zmarłego niedawno. Odesłano zatem zwłoki jej do Bretanii, gdzie ją tak za życia kochano.

Pewien dziennik tamtejszy tak skreśla tę rzewną uroczystość pogrzebową w parafii rodziny Ginoux de Fermon:

„W przeszły poniedziałek, 10 maja, zapełnił się stary kościół de Maisdon la Rivière mnóstwem ludzi, którzy przybyli oddać ostatnią posługę zwłokom Siostry Anny Ginoux de Fermon, bohaterskiej ofiary strasznego pożaru w Bazarze.

Trumnę, którą przywiózł o 7-mej rano pociąg pospieszny, który wyszedł w niedzielę wieczorem z Paryża, przewieziono na pogrzębowym karawanie, któremu towarzyszyła zacna matka zmarłej, jej siostra, panna Joanna Ginoux de Fermon, i trzej bracia Raoul, Karol i Józef Ginoux de Fermon i kilku krewnych i przyjaciół.

Najznakomitsze familie z okolicy miały tu swych przedstawicieli, którzy otoczyli serdecznem współczuciem i litością zacną i pobożną matkę, klęczącą przed ołtarzem.

Dwudziestupięciu kapłanów zasiadło w stalach i odmawiało na przemian officium pod przewodnictwem ks. dziekana de Maisdon. Kościół był tak bardzo napełnionym, że ci co przybyli na końcu, żadną miarą do wnętrza dostać się nie mogli. Żadnych ozdób nie było, żadnych obrazów, ani katafalku, ani kwiatów wyjąwszy tylko dwie białe lilie i gałązki białych róż na białym całunie.

Obecność wielu Sióstr św. Wincentego z Nantes, przedstawiających Zgromadzenie, które klęczały u trumny swej towarzyszki, powiększała jeszcze bardziej rzewny

nastrój tej, już tak przejmującej ceremonii — i widok ten łzy wyciskał z oczu“.

W niebie nie zapomina jej czysta dusza o tych, których tu miłowała; grobowiec jej ściąga do siebie licznych pobożnych przyjaciół przejętych uszanowaniem dla jej cnót i ufnością w jej zasługi przed Bogiem.

KAZANIE
na cześć św. Wincentego à Paulo
przez ks. MAURY.

Część druga [1]).

Śpiewajcie hymn, możemy tu powiedzieć z Izajaszem, śpiewajcie hymn na cześć Opatrzności wy biedni i nieszczęśliwi „którzy mieszkacie w prochu“! *Expergiscimini et laudate, qui habitatis in pulvere!* (Jaie XXVI. 19). Oto przedstawiamy wam przyjaciela, opiekuna, ojca. A wy moi bracia, którzy stojąc na czele społeczeństwa, sądzicie, że tak trudno jest dobrze czynić bliźnim swoim „zstąpcie z waszej wyżyny“ i patrzcie jak z najniższej klasy społeczeństwa, wyszedł najpiękniejszy wzór dobrodziejów ludzkości. O szczęśliwy losie Francyi! Wśród najgwałtowniejszych zaburzeń Frondy, zakłada św. Wincenty w stolicy największe zakłady dobroczynności, podobnie jak przeszłego wieku wśród anarchii i wojen domowych, Michał de l'Hôpital nadał temu królestwu najlepsze prawa. Patrzcie oto jest kapłan Chrystusowy, który nie głosił siebie nigdy żadnem wymownem dziełem na korzyść ubogich, który nawet nie znał wyrazu dobroczynność, lecz tak dobroczynnym się okazał, jużto przez swe dobre dzieła, jużto przez wpływ swej cnoty, że jak z je-

---

[1]) Patrz Roczniki Nr. 3 str. 152.

dnej strony bez drżenia nie można się zastanawiać nad tem, czemby była ta stolica bez świętego Wincentego, tak też z drugiej strony nie można się wstrzymać od wzruszenia na myśl czem ona będzie, jeżeli w niej Pan Bóg w miłosierdziu swem, każdego wieku wzbudzi takiego obywatela. Podobnie jak Chrystus Pan, przeszedł on dobrze czyniąc ludziom; *Pertransiit benefaciendo* (Act. Ap. X. 38). On otwierał dla potrzebujących strugi miłosierdzia pańskiego. Jego ojcowskie staranie o biednych ubogich było pełne zapału, było zaprawione niejako namiętnością, lecz namiętnością, której wytrwania udziela jedynie cnota. Kochał zaś tak swych bliźnich, że miłość jego była bardziej czynną od największego zapału w każdym śmiertelniku. Stał się bohaterem nieśmiertelnym obywateli chrześcijańskich a przeznaczeniem jego było, zdaje się pokazać na ziemi tę religię patryotyczną, tego dobrego geniusza w tworzeniu, podobnie jak bezbożność jest złym geniuszem w burzeniu wszystkiego.

Lecz nie rozbierając szczegółowo jego zwykłych jałmużn, których zliczyć niepodobna, zwróćcie, moi bracia, waszą uwagę jedynie na to, jak św. Wincenty od samego początku naśladuje niejako samą Opatrzność, w trwałości jaką zapewnia zasiłkom dawanym nieszczęśliwym. Wszystko dobro, które zdziałał, trwa jeszcze teraz, możemy odnośnie do niego powtórzyć za Salomonem i jest zawarte w Panu. *Stabilita sunt bona illius in Domino* (Eccl. XXXI. 11).

Podczas pasterzowania w Châtilon założył św. Wincenty bractwo miłosierdzia z doboru swej trzódki, żeby ono czuwało nad zasiłkami dla biednych i zawiadywało jałmużnami. Lecz niebo takiem błogosławieństwem koronowało jego cnoty, że każde jego pobożne dzieło stało się dla religii zakładem publicznym. Rzeczywiście mó-

wiąc słowy Pisma św. „to małe źródło wzrosło w wielką rzekę“ — *Fons parvus crevit in fluvium maximum* (Esther. XI. 10). To bractwo ku posłudze chorych, które św. Wincenty założył w Châtillon, jest kolebką tego cudownego zakładu Sióstr Miłosierdzia, których zasługi podziwia nasze społeczeństwo, jako najszczytniejszy kwiat naszej religii, o które nawet Anglia za dni naszych prosiła Francyę.

Św. Wincenty, który, możnaby powiedzieć, wierzył tak dobrym jak i złym charakterom, żąda jednakże, żeby do tego Zgrom. przyjmowano aspirantki, pochodzące z familii od kilku pokoleń nienagannych i żeby nigdy nie rozwalniano tej pierwotnej reguły doświadczeń, doświadczeń cnoty. Oddala gnuśność od cór miłosierdzia, zapełniając ich wszystkie chwile staraniem o ubogich, nauczając je przez całe życie tych cnót, których wymaga opiekowanie się chorymi. Nie wkłada na nie innego obowiązku jak tylko opiekowanie się cierpiącą ludzkością. „Nie będziecie miały, mówi on do nich w swej regule, żadnych innych klasztorów jak domy ubogich, innych klauzur jak ulice miast i sale szpitalne, innego welonu nad świętą skromność. Mojem pragnieniem jest, dodaje, abyście się zajmowały chorymi tak, jak się opiekuje czuła matka swem dziecięciem“. Tak daleko nawet posuwa swoją czułość, że nakazuje im wyraźnie „rozweselać i zabawiać chorych, jeśli są zbyt przygnębieni chorobami“.

Żeby zabezpieczyć te pokorne sługi ubogich przed narzekaniami na stan, któryby mógł się im później niepodobać, i pragnąc w tem Zgromadzeniu zachować zapał i gorliwość wciąż się odradzającą, nie przypuszcza ich do profesyi aż po 5 latach próby, nie pozwala łączyć się węzłem ślubów na dłużej, jak jeden rok, pragnie, żeby każdy rok, który upłynie niejako w gorącości zapału

ciągłego nowicyatu, odnowił też wobec Boga i ludzi zasługę ich pierwotnego poświęcenia. Pobudzony ich postępami uogólnia święty Wincenty obowiązki tych widzialnych aniołów Opatrzności, pragnie w nich widzieć cnoty tak wielkie, jakiemi są potrzeby powszednie, uważa je za godne, by w ręce ich złożyć wszystkie swe dobroczynne dzieła. Te godne córki tak dobrego ojca, ożywione jego duchem zastępują sierotom miejsce matki, poświęcają się wychowaniu dziatek, wspomagają chorych, wdowy, starców, więźniów, skazańców, wstydzących się żebrać, rannych żołnierzy; przychodzą w pomoc każdemu ludzkiemu nieszczęściu, by nie zostawić nikogo bez wsparcia; walczą przeciw wszelkiej nędzy, której źródłem ubóstwo, wiek, słabość, wszelkie przypadki, grzechy lub zbrodnie ich bliźnich; przez zwykłe funkcye swego stanu wszczepiają one w społeczeństwo najcenniejsze cnoty i wypełniają ze świętą radością obowiązek miłosierdzia, obowiązek najbardziej sprzeciwiający się naturze, lecz najzaszczytniejszy w oczach bożych a spełniają go tak w miastach, jak i po wsiach, na galerach i po więzieniach, w ciemnych norach nędzarzy jak po przytułkach publicznych.

Rzecz dziwna, wśród powszechnego upadku i zmniejszania się zakonów, niebo, które tak widocznie opiekuje się córkami św. Wincentego, stawiając ich przedziwną niewinność w środku między swoją sprawiedliwością a nędzą ludzką, niebo to, mówię, nie przestaje i teraz mnożyć ich domów, zwiększać ich liczby i rozsławiać po całej Europie. Jestto niejako ta urzędowa rodzina Opatrzności, która się znajduje i rozszerza wszędzie, żeby usprawiedliwić w ustach nędzarzy tę prawdziwą modlitwę: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie“, której głębokość nie pierwej pozna człowiek, aż przez adoptacyę uczuje się zbliżonym do Boga. Tak zaiste, moi nieszczęśliwi bracia,

wy macie rzeczywiście Ojca w niebie, gdyż tyle wspomagających matek przedstawia go wam na ziemi. Błogosławcie więc po wszystkie dni tego, który dając wam pomoc w tych Siostrach Miłosierdzia, zrobił was uczestnikami nowego boskiego synowstwa. Dzięki to matczynym staraniom cnotliwych córek św. Wincentego, które on nazwał córkami samego Miłosierdzia, poznajecie wy teraz ojcowską dobroć Pana Boga, przyjmując codziennie z ich rąk cząstkę jego spuścizny.

Życie czynne i pracowite, które jest treścią tego Zgromadzenia, uważał św. Wincenty za kwintessencyą miłosierdzia. Jego wielką maksymą było szukać zawsze cnoty w uczynkach miłosiernych. „Trzeba miłować Boga, mawiał zwykle, w pocie swego czoła“.

Jak tylko misye dały św. Wincentemu nieco wolnego czasu, zajmuje się zaraz innym rodzajem dobrych uczynków. Ubodzy zajmują zawsze miejsce w jego sercu. Nieustanna boleść na widok ubogich, popycha go niejako do ich wspomagania. Uważcie tylko: przez czterdzieści lat doznawał on nieustannych trosk doświadczeń i prób; w ciągu czterdziestu lat przeszedł on niejako szkołę, w której nauczył się co to nędza, aby później z zapasem skarbów miłosierdzia mógł iść szukać nieszczęśliwych, których nędzy sam był świadkiem lub ofiarą.

Św. Wincenty przypomniał sobie, że widział kiedyś w szpitalu de la Charité, wzór jak Kościół opiekować się powinien cierpiącymi; a widok tego rodzaju nie mógł dla takiego serca jak jego pozostać bezowocnym dla Opatrzności, ani bezużytecznym dla nieszczęśliwych. W przerwie więc między misyami idzie on, jako opiekun ubogich Chrystusowych, do szpitala, ażeby bliżej przypatrzyć się tamtejszemu urządzeniu. L'Hôtel de Dieu w Paryżu potrzebuje najwięcej jego wpływu, tam też

gorliwość jego znajduje zaraz od początku obszerne pole do działania; lecz natychmiast zauważył on, że koniecznie trzeba uporządkować zapał tam panujący, żeby przyniósł jeszcze większe owoce. Widzę z jak wielką uwagą i pilnością zastanawia się on i rozmyśla nad dobrem, które chce poprawić. A przygotowawszy tak drogi Opatrzności, wchodzi on teraz jakby w tryumfie, lecz już z nowem Stowarzyszeniem do szpitala l'Hôtel de Dieu, który słusznie można uważać za pierwszorzędny szpital Francyi, a nawet całej Europy. Krótki przeciąg czasu wystarczył mu, żeby w nim utrwalić przynajmniej na wiele lat ducha porządku, czujności, oszczędności, ludzkości i tej prawdziwej pobożności, która jest duszą prawdziwie dobrych uczynków. Z jednej strony mnoży on dochody; z drugiej zaś usuwa nadużycia. Z boleścią widzi on, że jakieś dawne prawo nakazuje niedyskretnie wszystkim świeżo przyjętym do szpitala, udawać się natychmiast do spowiedzi. Św. Wincenty ożywiony gorącością czystą i światłą, on tak cnotliwy, którego wiara była tak żywą, a interesa religii tak drogiemi, on, mówię w imię religii znosi ten obyczaj; wyzwala spowiedź świętą, czyni ją dobrowolną i wypędza z tego przytułku otwartego, wskutek swego przeznaczenia, dla każdej religii i narodowości, wszelki religijny przymus.

Nowe wspomnienia z ubiegłego życia dają św. Wincentemu nowe wzory dla dobroczynności. Teraz, moi bracia, nie zamyka się on ani w stolicy, ani w prowincyach naszego królestwa, żeby uwidocznić Opatrzność bliźnim. On był niewolnikiem w Barbaryii: ten święty Izraelita przypomina sobie niewolę babilońską, pracuje więc jak Zorobabel, by naprawić wszelkie nieszczęścia niewoli. Poświęciwszy dwieście tysięcy lirów na wykup uczestników jego nieszczęścia; zapobiegłszy temu co najbardziej im w tem nieszczęściu dolegało, otwarciem

w domu św. Łazarza generalnego i bezpłatnego biura korespondencyjnego z ich familiami; założywszy dla nich w Algierze obszerny szpital, stara się o ustawiczne zasiłki by ich z niewoli wykupić i przeznacza dla nich na zawsze kolonię misyonarzy, by przynajmniej pocieszali ich w niewoli i ożywiali ich wiarę, dopókiby on nie nadesłał pieniędzy dla opłaty ich wykupu. On był kiedyś męczennikiem miłosierdzia na galerach: zakłada więc teraz w stolicy, przy bramie św. Bernarda, szpital osobny dla galerników, których na zawsze uwalnia z ciemnych nor w Conciergerie a w Marsylii otwiera dla nich szpital na 300 łóżek. W ten sposób to obraca święty Wincenty dawne swe nieszczęścia na korzyść ludzkości i wypłaca się obficie Opatrzności, doznając lepszej doli.

Duch Boży spoczął na tym człowieku współcierpiącym, by pocinszał tych, którzy płaczą. *Spiritus Domini super me, ut consolarer omnes lugentes* (Isai. LXI. 1. 2). Widok nędzy czyni na jego serce wrażenie ogromne. Człowiek ten, który doznał tyle nieszczęść i był dla siebie tak twardym, jest najczulszym na nędzę i choroby swych braci. Każdy nieszczęśliwy jest dlań nietylko bliźnim, ale także dawnym towarzyszem niedoli i drugim nim. Jak tylko zwrócono mu uwagę na jakiego ubogiego, natychmiast zwraca ku niemu całą swą troskę. Nie wylewa się na próżne i czułostkowe wyrażenia; nie pobudza się do łez obłudnych, nie kieruje się pragnieniem zyskania poklasków wypełniając czyny pobożności. Lecz, jakkolwiek on panuje nad sobą i ukrywa wszelkie cnoty, mimo to na pierwszy rzut oka poznaje się w szlachetnych rysach jego twarzy człowieka przejętego boleścią, co odczuwa głęboko nieszczęścia, o których mu opowiadano. Widok, a nawet sam wyraz, ubogi, sprawia w nim silne wzruszenie i pobudza tego ducha miłosiernego, którego jest pełen. Wiek nie wysusza bynajmniej

tej tak czułej miłości. Starość, która dla innych ludzi jest czasem odpoczynku i indyferencyi, stanowi w jego życiu epokę najczynniejszą, bo serce jego nie zestarzało wraz z nim. Różny od człowieka tego świata, który dochodząc do końca tego krótkiego okresu życia, poza które już okiem nie sięga, koncentruje się tylko w sobie; św. Wincenty, ten mąż wieczności jest tylko podróżnikiem na ziemi, a miasto ustawać, podwaja zapał, zbliżając się do końca swej ziemskiej pielgrzymki.

Patrzcie, jak przy końcu życia, które mu lada chwila chce uciec, spieszy się z dziełami pobożnemi. Przecież to dopiero w piędziesiątym piątym roku życia zabiera się św. Wincenty do fundowania zakładów publicznych. Najszczytniejsze objawy i dowody jego miłosierdzia, nowy to znów cud, spostrzegamy dopiero w trzydziestu ostatnich latach jego życia; a mimo to pragnie nabyć większej jeszcze pewności i jasności, poddając wszystkie swe zamiary dłuższej próbie. Z nieba jedynie otrzymał on tę przedziwną cierpliwość, która dziełom jego zapewniła takie powodzenie. Jeśli spotyka jaką przeszkodę na swej drodze, to zamiast ją przemagać, ufając swemu znaczeniu, zwraca się do nieba, skąd spodziewa się pomocy, ustępuje przed tą przeszkodą, by się namyśleć czy ona pochodzi od Boga, czy też od ludzi. Tak mało ufa własnemu światłu, że pokora jego natychmiast ustępuje. Lecz on nie cofa się, on tylko bada sprawę. On szuka prawdy, on szuka dobra w głębokiem badaniu swych planów, a nie zwycięstwa. Jakikolwiek rodzaj walki sprzeciwia się jego sercu i zasadom. On chce także i ten czas przeszkód wyzyskać. Wyczekuje cierpliwie i w spokoju, lecz z całą wytrwałością świętego zapału chwili wyznaczonej przez Opatrzność. Nigdy nie walczy, a zawsze tryumfuje; a chodząc niejako widzialnie za Bogięm w swych przedsięwzięciach, nie przyspiesza on

niczego, bojąc się, jak mawiał, by nie wyprzedził czasem samej Opatrzności. Szczegółowy przykład da wam poznać, moi bracia, jeszcze jaśniej tę metodę roztropnego czynienia dobrze.

Święty Wincenty widzi w tej stolicy czterdzieści tysięcy żebraków pozbawionych ogniska domowęgo, bez chleba, bez żadnych zgoła obyczajów, tłum, o którym zarówno Henryk IV jak i Sully zwątpili, czy go zdołają rozproszyć lub w jakikolwiek sposób wspomódz. Lecz św. Wincenty, który opierając się na doświadczeniu, bezustannie powtarzał, że skarby Opatrzności są niewyczerpane, a brak ufności znieważa Boga, święty Wincenty, powtarzam, nie przeląkł się na widok tej czterdziestotysięcznej rzeszy i zaopiekował się nią. Szczególna łaska niebieska towarzyszy jego czynnościom. Wszystko czego się tknął, kwitło i trwało na zawsze: *Omnia quaecumque faciet, prosperabuntur*. (Psalm I. 3). Entuzyazm miłosierdzia rozpala jego odwagę. Czuje się wszechmocnym wsparty protekcyą Opatrzności. Ona to podtrzymuje go, ponieważ ona natchnęła mu wszystkie te plany. O! jakiej pomocy i błogosławieństwa nie może się spodziewać z nieba taka dusza jak jego, oddająca się całkowicie usłudze biednych. Zacznijmy tylko, mawiał, a Bóg dzieła dokończy. Ożywiony zapałem pierwszych wieków do zajęć prawdziwie wielkich, proponuje on założyć szpital generalny, by zmniejszyć liczbę żebractwa w stolicy, przez udzielanie dostatecznej pomocy prawdziwie potrzebującym.

Lecz tutaj widzimy tylko samego św. Wincentego, a jednak odważa się zmierzyć siły swoje w tak hazardownem przedsięwzięciu. Każdy około niego na widok takiej odwagi jego miłosierdzia, spuszcza oczy z podziwu. Magistrat paryski zdziwiony takim planem, przedstawia mu, że projekt jego jest niewykonalny, gdyż żebracy

miejscy są zanadto zepsuci, żeby mogli żyć wspólnie w jednym publicznym przytułku. Na takie trudności, które wydawały się do niepokonania, zatrzymuje się św. Wincenty, lecz od zamysłu swego nie odstępuje. Wiedział dobrze z jak opłakania godną łatwością wszystko krytykują uprzedzeni ludzie i jak łatwo wszelka przeszkoda ich irytuje. Bał się, jak sam mówił, ściągnąć nieprzyjaciół na ubogich, oddając się zbyt gorliwie ich usłudze. Nie chce inaczej przekonać swego otoczenia jak przez sam widok dobra. Zmienia więc postępowanie, nie odmieniając celu. Żeby dopiąć celu, zwraca opinię publiczną na wynik, chce czynami odpowiedzieć na te najrozmaitsze przedstawienia.

Od dłuższego czasu był św. Wincenty trapiony widokiem nędzy ubogich rzemieślników, których przypadek pozbawił pracy i wydał w ręce nędzy, łączącej się ze starością i niedostatkiem. Zbiera więc natychmiast, niejako dla próby, ale takiej próby, która powoduje zaraz inny zakład, zbiera, mówię, trzystu tych biedaków obojga rodzaju w szpitalu „Imienia Jezus", który zbudował. Zaraz w początku wpaja w nich głęboko te prawdy religii, które oprócz surowego świadka, jakiego każdy człowiek znajduje w swem sumieniu, pokazują mu nadto w niebie świadka czynów nie mniej blizkiego lecz daleko surowszego, który też kiedyś będzie ich sędzią. Przedstawia im więc, że czyni ich odpowiedzialnymi za los wszystkich ubogich w stolicy, i że kiedyś przed sądem Boga zażąda od nich rachunku, jak się wywiązali z miłosiernej próby, którą na nich chciał zrobić. Szpital „Imienia Jezus" założony w ten sposób na gwarancyi ich sumienia, stał się wkrótce, dzięki mądrości jego ustaw, kompletnym wzorem jedności i chrześcijańskiej miłości. Przykłady głośno mówią i sprawiają zwykle niesłychane przeobrażenie w umysłach; miłosierdzie

św. Wincentego walczyło naraz na dwóch punktach, przed trybuną opinii publicznej i w głębi wszystkich serc. Możliwość wprowadzenia porządku w to schronisko wszelkich ludzkich nędz okazała się w czynie, który zmusił do milczenia wszelkie poprzednie małoduszne wywody. Dozór porządku stał się możliwym w stolicy, która na zawsze została uwolnioną od tej błąkającej się nędzy, którą od samego początku monarchii była zarażoną. Wszelkiego rodzaju zasiłki znajdują się w obfitości, a powszechny odgłos pochwał i błogosławieństw roznosi sławę bohatera chrystyanizmu. Potężniejszy teraz od królów, wsparty naprzeciw opinii publicznej przewagą swej cnoty i powagą tylu dzieł, zakłada nowy szpital generalny Salpêtrière i zapewnia temu obszernemu zakładowi Opatrzności fundusz, tak, że po wszystkie czasy można doń przyjmować siedem tysięcy biedaków. Reszta z owej rzeszy była zbiorem włóczęgów, którzy widząc się pozbawionymi niemoralnego zarobku, rozproszyli się sami, jak to przewidział i przepowiedział św. Wincenty. Słodko powtórzyć, że aby dokonać tego tak ważnego przedsięwzięcia któreby starczyło, by św. Wincentemu zapewnić sławę nieśmiertelną, on zamienił niejako kamienie w chleb. Dano mu 600.000 liwrów na zbudowanie kościoła przy św. Łazarzu; on zmienił ten zamiar i obrócił tę sumę na zbudowanie tego szpitala.

Po tak świetnym powodzeniu, nie zmniejsza ten pobożny wykonawca dzieł bożych, swej gorliwości, nie odpoczywa po swych pracach, lecz szuka nowych. Wsparłszy Paryż, udaje się on na prowincyę. Lotaryngia jest pustoszona od 25 lat: głód i epidemia dokonały tam ogromnych spustoszeń; pola zasłane są setkami trupów, wyziewającymi śmierć i zarazę na wsze strony a które próżno oczekiwały grobu. Pikardya i Szampania doznają tego samego losu. Deputowani z tych nieszczęsnych

prowincyi zbiegają się do Paryża. Lecz czy udają się oni do jakiego magnata, literata sławnego, męża stanu lub wreszcie do króla? Nie, moi bracia! oni zbiegają się do onego ubogiego kapłana, o którego dobroci słyszeli już w głębi swych prowincyi, którego głos publiczny mianował szafarzem darów Bożych.

Obecność tego świętego męża napełnia każdego nieszczęśliwego, który tylko się do niego zbliżył taką odwagą, jak gdyby to był sam najwyższy Pocieszyciel. A św. Wincenty, którego zasoby, powiedziałby kto, wyczerpały się na fundacye zakładów publicznych, wspiera tu szpitale, klasztory, krocie zubożałej szlachty, rolników i żołnierzy. Miłosierdzie jego jest, mówiąc słowy Pisma świętego: strumieniem błogosławieństw, roznoszącym wszędzie obfitość. *Benedictio illius gnasi fluvius inundavit* (Eccles. XXXIX. 27). Nie ogranicza się tylko na chwilowych zasiłkach. Nie, lecz przez dziesięć lat bezustanku posyła on do tych spustoszonych prowincyj co miesiąc 30.000 lirów, lekarstwa, wozy naładowane zbożem, nasiona, pługi i inne narzędzia rolnicze, bydło, naczynia kościelne i ubrania dla 20.000 ludzi wszelkiego stanu. Jego szczodrobliwość była tak cudownie wielka, że przy końcu wspomnianych klęsk, metropolia Reimska, pragnąc hołdem nadzwyczajnym wyrazić wdzięczność ludu francuskiego dla św. Wincentego, zarządziła generalną procesyę, by błagać niebo o jak najobfitsze błogosławieństwa dla tego zbawcy trzech prowincyj.

Tutaj, zastanawiając się, moi bracia, nad tą niezmierną liczbą dobrych dzieł, wyobrażam sobie świętego Wincentego jako anioła opiekuńczego całej Francyi. Ach! wyznaję z najserdeczniejszą admiracyą, że ten piękny ideał chrześcijańskiego miłosierdzia, urzeczywistnił się wśród nas w życiu tego wielkiego męża. Nie chcąc by-

najmniej mu umniejszać sławy przypominaniem jego niskiego pochodzenia, czuję się zmuszonym zastosować do niego to pytanie, które wypowiedzieli żydzi, na widok cudów Pana Jezusa: Czyż to nie syn rzemieślnika, który czyni tak wielkie rzeczy? *Nonne hic est fabri filius* (Math. XIII. 55).

Ażali to syn rolnika, który podczas zamieszek Frondy, po dwakroć ocala stolicę, otwierając dwa razy podwoje św. Łazarza i żywiąc codzień w przeciągu pięciu miesięcy po 2000 ubogich; który otwiera przytułek dla nieszczęsnych ofiar namiętności i zakłada dla nich dom zwany *Madeleine du Temple;* który funduje dla osieroconych dziewcząt tak potrzebny szpital? Jestżeż nim ten, który jest odnowicielem wszystkich zgromadzeń poświęconych posłudze ubogich, szpitalniczek de Notre-Dame, córek Miramion, córek św. Genowefy, córek Dobrego Pasterza, córek św. Krzyża, córek Opatrzności? *Nonne hic est fabri filius?*

Jestże to syn rolnika, który w całem królestwie zapobiega wszelakim nędzom; który, zapewniwszy w jednem miejscu wsparcie i opiekę dla ubogich, natychmiast udaje się gdzieindziej wspomagać nędzę, która nań czeka, nie troszcząc się zgoła, czy sława mu towarzyszy, nie zostawiając nigdzie najmniejszego śladu próżności, nie dając żadnemu zakładowi swego imienia, nie żądając od ludzi żadnej zgoła czci i uznania za swoje prace i trudy? *Nonne hic est fabri filius?*

Jestże to syn rolnika, który napracowawszy się około reformy reguły opactwa św. Genowefy, Grammont i Prémontré, udaje się do Burgundyi, by tam wznieść ów sławny szpital Sainte-Reine, by w ten sposób ułatwić 400 ubogim chorym po wieczne czasy, dwakroć do roku używania kąpieli u wód, które dotąd płynęły li tylko dla bogaczów? Jestże to on, który nie

zapominając w swych troskach serdecznych i współbolejących o żadnym rodzaju dobrych uczynków, otwiera domy schronienia i ucieczki dla upadłej młodzieży, a zdrowie dające szpitale dla tych nieszczęsnych, którzy użycie rozumu stracili! Jestże to on, który rezerwując nadwyżki swej szczodrobliwości i przeznaczając wszystkie zbytki w tym królestwie na uczynki miłosierdzia, ustanawia fundusz wieczysty na wszelkie przyszłe klęski na gradobicie, wylewy wód, pożary? *Nonne hic est fabri filius?*

Ażaż to syn rolnika, który żyjąc niemal sto lat, nie żył jednak ani dnia dla siebie; który poświęciwszy się raz całkowicie usłudze ubogich, pracuje bezustanku dla dobra ojczyzny i szczęścia świata; który nie ograniczając się tylko do jednej klasy ubogich, do jednej okolicy, do jednego wieku, obejmuje w swem niezmiernem miłosierdziu wszystkich nieszczęśliwych, wszystkie narody, każdy wiek, każdy kraj; który sądząc że teraźniejszość nie wystarczy dla jego serca, zajmuje się już przyszłością, obejmuje w swojej litości wszystkich ubogich i udaje się, jeśli tak można powiedzieć, daleko, żeby wspomódz i pocieszyć cierpiącą ludzkość? *Nonne hic est fabri filius?*

Czy to syn biednego rolnika, ten mąż dla którego miłosierdzia ta stolica, ani nawet całe królestwo nie wystarczy; dla którego każdy cierpiący, gdziekolwiek na kuli ziemskiej, staje się przyjacielem, bratem, drogim synem; który posyła swych misyonarzy do Polski, do Hebryd, do Barbaryi, na Madagaskar; który posyła bezustannie zasiłki Maronitom prześladowanym przez Turków, katolikom angielskim więzionym przez Cromvella? Czy to syn wyrobnika, czy też chyba sama Opatrzność?

Zatrzymam się, moi bracia, powtarzacie bowiem z ludem żydowskim: Gdzież znalazł on tak cudowne

środki? *Nonne hic fabri filius? Unde ergo huic omnia ista?* [1]). Pytacie się mnie pełni podziwu, jakżeżto jest możliwe, żeby człowiek taki ubogi, człowiek prywatny i niskiego pochodzenia mógł takich dzieł dokonać, takie zakłady uposażyć, na które nie byłoby stać ministra potężnego króla, a nawet samego monarchę? Pytacie się mnie, gdzież znalazł on tak niewyczerpane źródło bogactw, lub czy czasem nie otrzymał z nieba daru cudów. Nie, moi bracia, w jego dziełach nie ma nic nadzwyczajnego. Nie, moi bracia, my musimy nawet z chwałą dla niego zaznaczyć ten wielce pouczający brak cudów w historyi pobożnych uczynków, który ewangelia tak wyraźnie zaznacza w życiu św. Jana Chrzciciela: *Quia Joannes signum fecit nullum* [2]). Nie mogę wam wskazać innego cudu, jak tylko samego św. Wincentego; ale człowiek taki, człowiek z dobroczynnością tak wielką i płodną jest rzadszy w historyi religii niż same cuda.

(C. d. n.).

[1]) Math. VIII. 50.
[2]) Joann. X. 51.

Sprawozdanie

z prac misyjnych podjętych przez XX. Misyonarzy z Kleparza w Zachodniej Galicyi w pierwszej połowie r. 1898.

A) Prace misyjne w W. Poście r. 1898 odbyte.

List X. J. Sokołowicza do JMC. X. P. Soubieille, Wizytatora Prowincyi Krakowskiej.

Czcigodny Księżę Wizytatorze!

W bieżącym roku 1898 raczył P. Bóg znowu prace nasze misyjnym nowym i to pięknym rozkwitem obdarzyć, zwiększając siły nasze a hufcom misyjnym przysposabiając żniwo obfite i pole do pracy rozległe. Z dawnej czwórki misyonarzy, która jedna przez 7 niespełna lat odpowiadała dotąd wezwaniom trzech dyecezyj: lwowskiej, tarnowskiej i krakowskiej, utworzono obecnego roku dwie misyjne kompanie. Z tych jedna (XX. Krzyszkowski, Dudek i Domoradzki) pod dowództwem X. Kamińskiego, stale pracuje we lwowskiej Archidyecezyi; druga zaś, w skład której weszli XX. Konieczny, Kudlek i ja Zachodnią Galicyę, względnie dyecezyę Krakowską obiega. Jakkolwiek skutkiem tego podziału siły nasze się rozdwoiły, to jednak i prac było tyle, żeśmy im zaledwie podołać mogli, chociaż od Mięsopustów aż poza ś. Jan prawie ustawicznie byliśmy w ruchu. Wodził nas też Pan Bóg w tym roku jak kiedyś anioł Habakuka — pędzili nas z miejsca na miejsce, od jednej do drugiej pracy. Wschodnia kompania jeszcze w Poście ruszyła z domu; dziś już św. Wincenty nadchodzi, a ich jeszcze niema. Nasza trójka rozpoczęła ekskursye przed Ostatkami i dopiero na ś. Jan ukończyła ostatnie żniwo.

Jest znowu za co P. Boga wielbić, będzie się też czem w tych opisach z konfratrami podzielić.

Zielonki (renowacya).

Pierwszą pracą naszą misyjną w tym roku była renowacya czyli ponowienie misyi w Zielonkach, tuż obok Krakowa. Parafia ta była jedną z pierwszych, w których J. Eks. Najprzewielebniejszy Książę Biskup nakazał misye zaraz po objęciu rządów w dyecezyi krakowskiej. Podówczas misye w tutejszej dyecezyi nie były w modzie, a nawet prawie wcale i dła ludzi i dla duchowieństwa obce; a jako pierwsze próby szły dosyć tępo i trudno: dzisiaj rzeczy się mają zupełnie inaczej. Duchowieństwo je całem sercem pokochało i popiera; lud z utęsknieniem wygląda misyi jak zmiłowania bożego. Przez te pierwsze próby wiele się ku lepszemu zmieniło; inne niektóre sprawy zostawiły jeszcze nieco do życzenia. Co widząc zacni duszpasterze, sami zaczęli o renowacye się starać, by złe w parafiach do szczętu wytępić a dobre utwierdzić. Skoro się zaś na uwagę weźmie, jak to trudno, zwłaszcza w pobliżu większych miast, lud w karbach utrzymać i to w naszych czasach, gdzie socyały głowę podnoszą, prostaczków bałamucą, zrozumie się niektórych księży, którzyby u siebie i co-rok chcieli mieć misye a powiadają, żeby to wcale nie było za wiele. Do takich zacnych, według serca bożego pasterzy, pisze się pierwszy Przew. X. Kan. Michalik, proboszcz w Zielonkach. Mniej więcej powody wyż przytoczono nakłoniły tego gorliwego pasterza, że nie czekając nowego rozporządzenia Władzy, sam od siebie o renowacyę misyi dla parafii swojej poprosił. Zielonki znane nam były, bo się tam czasami na odpustach bywało a i parafianie tamtejsi często konfesyonały nasze w Krakowie nawiedzają.

Jechało się też nie jak na pracę jaką, ale jak na rekreacyę po zasiedzeniu zimowem w Krakowie. Wy-

braliśmy się rychło, bo już 12 lutego a to z powodu, że czekało jeszcze wiele innych prac zamówionych, które nam miały cały ś. Post zająć. Pracę samą rozpoczęliśmy w sobotę przed niedzielą Mięsopustną na nieszporach. Po uroczystem wezwaniu Ducha św. śpiewem *Veni Creator*, przemówił gorąco i trafnie X. Kan. Michalik, poczynając od słów z psalmu 94: „D z i ś s k o r o g ł o s P a ń s k i u s ł y s z y c i e, n i e z a t w a r d z a j c i e ż s e r c w a s z y c h!“ W tym psalmie wspomina Dawid o wyprowadzeniu żydów z niewoli egipskiej, wylicza dobrodziejstwa, jakiemi ich Bóg obsypywał na puszczy, a karci ich zatwardziałość i niewdzięczność. To samo zastosował mowca do parafian swoich, którzy przez misyę przed 3-laty tu odbytą z niewoli szatana oswobodzeni zostali. Wielu wytrwało w dobrem i pięknie się trzymają; inni podobni do żydów nie długo po misyi porzucili drogę bożą, oddając się napowrót pijaństwu, gwałceniu świąt i innym zbytkom. Znowu Bóg Miłosierny się odzywa, by jednak w dobrem utwierdzić a zatwardziałych do pokuty i upamiętania przywieść: „D z i ś s k o r o g ł o s t e n s ł y s z y c i e, n i e z a t w a r d z a j c i e ż s e r c w a s z y c h!“

Posłuchał ludek poczciwy: od rana do wieczora co dzień był kościół zapełniony od soboty aż do czwartku. Ponieważ to jeszcze zimna i śniegi były i zresztą nie mogliby razem z domów odejść, rozdzieliliśmy ich na dwie partye: naprzód przychodzili mężczyźni i chłopcy a potem kobiety i dziewczęta. Tym sposobem stawili się i z renowacyi skorzystali wszyscy parafianie z wyjątkiem nieszczęśliwych dworów i ich czeladzi — te się nie osobliwie spisały. Gorliwy Pasterz wydał do nich osobną odezwę, żeby się stawili dla samego przykładu i czeladź posłali. Przyjęli do wiadomości ono pismo wszyscy, pod-

pisali, że je widzieli — i na tem się skończyło; jeden tylko z Garlicy dziedzic nie podpisał ale przyszedł sam i służbę posyłał. Prócz miejscowych parafian przyszło nieco z Giebułtowa, Modlnicy i Węgrzyc (par. Raciborowice). Nauk miewaliśmy dziennie dwie: po sumie i po nieszporach a przytem rachunki sumienia, exhorty na zawołanie, kiedy było potrzeba. Księży do słuchania spowiedzi najrozmaitszych obfitość i wybór wielki: kondekanalni stawili się prawie wszyscy: z Giebułtowa, Modlnicy, Bolechowic, Raciborowa a nawet z Ruszczy i Mogiły; przytem nasi konfratrzy XX. Grzegdala, Dudek i Binek z Kleparza dojeżdżali, od Bożego Ciała, i Reformatów również dzielnie popierali tak, że w tym stosunkowo krótkim czasie wyspowiadało się około 2000 osób a z tych bardzo wiele składało spowiedź z całego życia, chociaż przed trzema laty dawali tu misyę OO. Jezuici. Pijaństwo już poprzednio znacznie było podcięte; obecnie dobijaliśmy resztki: murarzy, włóczęgów. Niemały stąd kłopot dla żydów. Od czasu jak tu X. Proboszcz zaprowadził Kółka rolnicze i katolickie sklepy, kredyt ich znacznie został zrujnowany, dogodziła im poprzednia misya a ta renowacya dotrąciła do reszty. Przedtem mieli się tu świetnie i Zielonecka dzierżawa słynęła jako jedna z najlepszych w okolicy. Po onym nieszczęśliwym „krachu“ żydowscy arendarze z Krakowa zaczęli się między sobą oszukiwać. Co który nastał, widzi, że nie obstoi, dalejże szukać sobie zastępcy: a nie przyznał się, że tam dla żydków bieda, owszem wychwalał Zielonki jak za dobrych czasów — tylko, że on przyzwyczajony do ludzi cywilizowanych, a tu do chłopów nie może nawyknąć i dlatego się wynosi. Tak w krótkim czasie coś ze sześciu ich się zmieniło. Po renowacyi, skoro już i ostatnie niedobitki ślubowały, jeden z arendarzy, kiedy mu gorzałka kisnąć zaczęła,

myśli sobie: „goje“ nie chcą pić, niechże ja aby raz użyję! — i upił się tak, że do trzeciego dnia leżał jak bez duszy.

Kółek Żywego Różańca czyli tak zwanych „Żywych Róż“ zawiązało się w czasie renowacyi 40.

Tłusty Czwartek obchodzi się tu uroczyście *ad instar 40 horarum* (w rodzaju 40-godzinnego Nabożeństwa). Skoro się do środy wieczór pospowiadało wszystko, w sam czwartek rozdaliśmy ostatniej seryi Komunię św. spowiadało się jeszcze nieco obcych, którzy na ten dzień na odpust przyszli, jeden z misyonarzy na sumie powiedział konkluzyjną naukę, poczem zaśpiewaliśmy *Te Deum* (procesyi z powodu słoty i zimna nie było można urządzić) — i pożegnali parafian. Po obiedzie niebawem pospieszyliśmy do Konfratrów na Nową Wieś, gdzie wychowankowie naszego Małego Seminaryum świetnie odegrali „Mnicha“ Korzeniowskiego.

Jeleśnia (powiat żywiecki) Renowacya.

Ostatki zeszły nam na obchodach urządzonych wspaniale u naszych Sióstr przy Domu Centralnym. Już w sobotę przed I-szą Niedzielą Postu rozpoczęliśmy dalsze prace misyjne, mianowicie renowacyę w Jeleśni. Parafia to ogromna, bo liczy do 13.000 dusz a misyonarzom dobrze się dała we znaki, kiedy tu przed 3-laty ostatki potów wylewali. Z czwórki, która tu poprzednio pracowała, ja tylko jeden miałem obecnie pociechę oglądać, jakie tu cuda łaska misyjna sprawiła, jak się ta parafia poprawiła — a tegośmy zawsze byli ciekawi. W sprawozdaniu z ostatniej misyi danej tu przez nas w r. 1895 podałem niektóre dosyć ujemne strony tutejszego ludu; dziś — prawda — są jeszcze wyjątki, ale ogół parafii zmieniony nie do poznania; a te ich dawne

wykroczenia dziś, skoro się poprawili, są dla nich chlubą jak te cienie, co w obrazie jasne kolory tem lepiej uwydatniają. Poprzednio w czasie nauk np. nieraz taki krzyk, hałas powstawał w kościele, że niepodobna było mówić. Teraz spokój, cisza jak w najlepiej obrobionych parafiach. Dawniej patrzeli, żeby się czemprędzej zbyć ze spowiedzią — i im prędzej kto od kratki odskoczył, ten był lepszy; teraz każdy dobrze wszystko obrachuje, pomyśli, ułoży, opłacze i dopiero tak do ś. Trybunału przyjdzie, bo też i nauk lepiej i pilniej słuchają i biorą je sobie do serca: niektórzy całe ustępy z kazań jeszcze od misyi pamiętają. Ani poznać, że to ten sam lud, nad którymeśmy tak przed 3-laty boleli. Misya ostatnia nie przeszła nad tą parafią jak burza jaka, ale przeniknęła serca do gruntu i użyźniła tę wyschłą i zdziczałą ziemię. Po misyi pracowali tu gorliwie księża tacy jak Wąsik i Kluka i podtrzymywali to co się szczęśliwie w czasie misyi zaczęło. Do prawdy! — dziwna to i cudowna łaska boża dla tej parafii.

Pijaństwo dawniej tu przerażająco zakorzenione, znacznie się od misyi zachwiało. Z tych, którzy wtenczas ślubowali, czasem się który zanadto do wina zapala; ale gorzałki ani nie tkną (nawet w chorobie!) — i jeden drugiego pilnuje.

Opowiadano nam tu taki kawałek. Misyonarze między innemi przyjmując tutejszych parafian do ś. Trzeźwości upominali ich, żeby sobie tego nie lekceważyli, a gdyby się czasem który w postanowieniu chwiał, to inni żeby go pilnowali, karcili, upominali. Górale a szczególnie chłopcy zrozumieli to zanadto dobrze. Po misyi jeden z nich się upił; inni to zaraz zmiarkowali i egzekucya na poczekaniu. Napadli go gdzieś na wsi i pobili, że im taki wstyd zrobił. Delikwent wnosi skargę do sądu. Gdy przyszło do rozprawy, sędzia, uczciwy czło-

wiek, pyta oskarżającego, o co mu chodzi? Ten nie chce powiedzieć, tylko wskazując na jednego z przeciwników, powiada: „On-ta wie dobrze, o co chodzi — to niech powie“. Wtedy oskarzony: „Jak powiedzieć, to powiedzieć — proszę p. sędziego to było tak : On przysięgę połamał a my go trochę za to potyrpali — więcej nic“. „Co? — zawołał sędzia — za połamanie przysięgi, czyli krzywoprzysięstwo to nie jego, ale ciebie kryminał czeka: pogódźcie się, bo będzie źle“. I odeszli w pokoju.

Skoro zaś pijaństwo w parafii ustało, zaraz inne życie. Groszem zaoszczędzonym odmalowali ślicznie tutejsi parafianie kościół, nasprawiali aparatów do służby bożej; szynki wypróżniały, za to dom boży w niedziele i święta zawsze przepełniony a wiele pobożniejszych dusz i w powszednie dni na mszę ś. chodzi.

Administrator obecny parafii X. Józef Waligóra pisze:

„Po ostatnich misyach zaszła w tejszej parafii wielka i zbawienna pod każdym względem odmiana. Dość powiedzieć, że stosunkowo więcej przychodzi do spowiedzi, niż w innych parafiach, że w czasie największych robót przystępuje do ś. Sakramentu Pokuty wyżej 200 osób tygodniowo; choć byłoby, mem zdaniem, lepiej, gdyby mniej osób przystępowało co tydzień a natomiast, by szerszy ogół przystępował do spowiedzi co miesiąc lub co kwartał“. Dalej podaje statystyczny wykaz na podstawie metryk parafialnych sporządzony, jaka była moralność w parafii dawniej, a jaka po misyi — różnica kolosalna! To samo co do pijaństwa; ale to wszystko opuszczam, żeby obecnego sprawozdania zbyt nie rozszerzać. W tymże cennym liście podał nam tenże X. administrator szczegółowe wskazówki, jakie *vitia* po misyi w parafii zaczęły głowę podnosić, co, jeżeli kiedy, to

przed renowacyą jest dla misyonarzy niezbędne, jeżeli się chce praktyczne tematy do nauk wybrać. Niedługo przed samą renowacyą tenże dodaje znowu: „Wczoraj zapowiedziałem przyjazd Księży Dobrodziejów na sobotę tj. 26 b. m. i rozpoczęcie renowacyi tego samego dnia na godzinę 4 popołudniu. Nie lubię koloryzować, ani pochlebiać, ale muszę wyznać, że wiadomość tę przyjęła cała parafia z wielką radością. Cieszą się tem, że przyjadą ci sami Ojcowie (jak mówią) co nas tak pięknie nauczyli; cieszą się, że te ćwiczenia wypadną dla nich w czasie najdogodniejszym. Przybywajcie, Ojcowie, — wszyscy czekamy!“

Z dawnych nawyczek między innemi zostało tu jeszcze pchanie się i bitki przy konfesyonałach; weszło to jakby w naturę górali tutejszych: dużo chyba czasu jeszcze upłynie, nim się to wykorzeni i jeszcze pytanie, czy wogóle kto temu da radę? Bigoteryi też trochę się pojawiło jako druga ostateczność po dawnych czasach. Dawniej za honor uchodziło, kto umiał dobrze broić; gdy znowu moda pobożna nastała, niektóre puste głowy i w tem przesadzają. W domu robota stoi, chory leży, bydlęta beczą, a dziewucha wybierze się na stacye, albo do spowiedzi i całe pół dnia przesiedzi w kościele. Dostanie się która rano na nabożeństwo, to ją w domu nie zobaczą aż pod wieczór. Inniby też radzi do kościoła zajrzeć, nabożeństwo się tak odprawia, że z bliższych wiosek można nadążyć, jeżeli jedno pójdzie zrana a drugie na sumę. Ale jak się w domu choćby jedna taka zawrócona głowa znajdzie — wszystko pomiesza. Wogóle jednak Jeleśnia tym razem ucieszyła nas bardzo. Poprzednio przy pożegnaniu wyprawili nam wspaniałą paradę, zasypali kwiatami, muzyka grała, odprowadzili aż na dworzec, a myśmy w sercu płakali, jak P. Jezus kiedy na osiołku do Jerozolimy jechał; teraz odjeżdża

liśmy skromnie, cichutko; ale w sercu śpiewaliśmy *Magnificat!* że tyle tu cudów łaska boża sprawiła.

Renowacya trwała od 26 lutego do 7 marca. Parafian rozdzieliliśmy na stany. Komunię ś. rozdzielało się dwa razy wspólnie: dla kobiet i dziewcząt osobno; dla mężczyzn i chłopaków osobno. W każdej seryi był pierwszy dzień wspólny dla obydwóch stanów, w następnych zaś dwóch dniach przychodziła osobno młodzież a osobno starsi — i nauki stosowne się dobierało do każdego stanu. Przy pomocy księży ze sąsiedztwa wyspowiadało się przeszło 6000. Do ś. Trzeźwości świeżych zapisało się 700, a dawniejsi ponawiali. Do Żywych Róż tylkośmy zachęcali, zostawiając ułożenie tychże księżom miejscowym na ekskursyach.

Witanowice (powiat Wadowicki). Misya.

Od poniedziałku do soboty wypoczęliśmy w Krakowie; poczem dalsza jazda nastąpiła, bo nie było czasu do stracenia. Na sobotę d. 12 marca stanęliśmy w Witanowicach i zaraz na Gorzkich żalach rozpoczęliśmy misyę. Szczerze i serdecznie nas na samym wstępie i to trzykrotnie przywitał miejscowy proboszcz X. Wojciech Fiałek: raz na dworcu w Wadowicach, potem u siebie w plebanii a wreszcie w kościele od ołtarza po odśpiewaniu hymnu do Ducha św. Lud nas również powitał jak swoich, bo nas znali już z Krakowa, gdzie większa połowa parafian tutejszych odprawiła Rekolekcye. Jeździć do Krakowa było niejednemu za trudno, bo to zawsze z kosztami złączone i uciążliwe, gdy przyjdzie na kilka dni dom i gospodarstwo opuścić. Za to tu w miejscu garnęli się licznie i wytrwale. Spowiedź misyjna rachowała się zarazem i za wielkanocną. Kartek zebrało się około $1^1/_2$ tysiąca a jeszcze i po misyi kapali. Do świę-

tej Trzeźwości przystąpili wszyscy i to chętnie a dawni ponawiali. Dzięki poczciwemu sercu Przezacnego pasterza, które umiało sąsiadów i bliższych i dalszych ciągnąć, praca w konfesyonale zbytecznie odczuć się nie dała; nie próżnowaliśmy ale też i zbytecznego przeciążenia nie było — zresztą parafijka nie wielka. Dostęp do kościoła okropny: kościół na jednej górze — a plebania na drugiej; jedno od drugiego odległe o jaki kilometr drogi i przytem trzeba przejść przed kładkę a potem piąć się po kamieniach w górę. Jak sucho, pół biedy; ale przy najmniejszym deszczu, wilgoci, przeprawa fatalna. Tędy ze trzy razy dziennie trzeba było obrócić. Złote serca i ludu i ks. Proboszcza wynagrodziły nam z nadwyżką te drobne niewygody.

W misyi samej spróbowaliśmy tu nowego systemu. Kiedy się na dwie serye parafian dzieli, na niektórych naukach bywają po dwa razy np. przy rozpoczęciu, albo jak trafi niedziela itp. Żeby się nie powtarzać, a przytem na czasie zyskać, sobie gardła, a proboszczowi kieszeni oszczędzić, te powtarzania obcięliśmy, nauki o pokucie się ściągło i tym spobem dało się w 6 dniach zrobić to samo, co w obszerniejszym systemie trwało dni 8 z okładem. Błogosławienie dzieci urządziło się po seryi kobiet, a polecenie parafii opiece N. Panny Maryi wypadło w ostatnim dniu wieczorem i wtenczas wszystkie stany się zeszły.

Rzewne były przeproszenia przed Komunią św., zwłaszcza kiedy się kaznodzieje do proboszcza zwracali, a lud go miał na klęczkach przeprosić i wobec wystawionego Zbawiciela w Najśw. Sakramencie dać zapewnienie, że będzie zawsze głosu prawowitych pasterzy słuchać, a brzydzić się podszeptami samozwańców i wichrzycieli. Ale najwspanialej wypadła konkluzya. Do krzyża misyjnego wybrano 12 rosłych, zgrabnych chło-

paczków, przystroili ich w szarfy i oni go nieśli. Chłopi go zrobili, dziewczęta ubrały kwiatami, gałązkami — czem mogły, chłopcy nieśli, a na kobiety wypadł urząd podlewania łzami — płaczu. Dzielnie się też z tego wywiązały. Po postawieniu krzyża wróciliśmy do kościoła, wychodzę na ambonę, by rzec ostatnie słowo, patrzę a tu proboszcz pierwszy już z góry płacze zawodzi aż się na ołtarzu oparł, ludzie huczą od jęku jak bałwany morskie, przeżegnałem się, próbuję co powiedzieć — a tu ani rusz — aż po chwili zdołałem tchu dorwać i jako tako lud pożegnać.

Dobrze tu było między takim ładnym i poczciwym ludem bawić, ale że gdzieindziej inni jeszcze czekali, tego samego dnia tj. w piątek 18 marca ruszyliśmy do Krakowa.

Rudawa (renowacya).

Wypoczynek mieliśmy maleńki, bo zaledwie jeden dzień trwający. W niedzielę zrana dnia 20 marca znowuśmy się przerzucili za Kraków do Rudawy, by na sumie rozpocząć renowacyę. Około 10 godziny ruszyliśmy z Krakowa. Przystanek kolejowy w Rudawie i przylegające pagórki zasypane były ludem, który po nas procesyonalnie wyszedł, a skorośmy z wagonu wysiedli, cała rzesza jednym chórem krzyknęła: Wiwat! Niech żyją XX. Misyonarze, Wiwat, Niech żyją nasi Ojcowie. Chcieli nas procesyonalnie prowadzić; ale że było mokro i chłodnawo, więc wsiedliśmy na wózek i tak przybyli ku kościołowi. Tu w bramie powitał nas X. Proboszcz Łobczowski, ludu się trochę zbiegło za nami i tak nas wprowadzono do kościoła. Od ołtarza przemówił do nas i do parafian X. Proboszcz, jeden z misyonarzy odpowiedział na to narazie pokrótce,

a potem w czasie sumy gruntowniej. Miało to być tylko t r y d u u m renowacyjne; przy końcu miał przybyć O. Promotor z Krakowa i zaprowadzić kanonicznie Różaniec Wieczny; ale gdy zaszła przeszkoda i przybyć nie mógł, myśmy czas jemu naznaczony zabrali i urządzili renowacyę w porządku. Na każdą seryę wypadło po dwa dni, a w przerwach słuchaliśmy spowiedzi dalej. Żeby nam chłopi nie uciekli w poniedziałek na jarmark do Krzeszowic, wzięliśmy ich naprzód i spowiedź na tenże dzień im wypadła. Ponieważ to już była zarazem spowiedź wielkanocna, każdy pilnował, żeby nie chybić. Księża sąsiedzi przybyli z pomocą licznie; podczas ostatniej misyi po większej części prawie cała parafia złożyła spowiedź z całego życia, to teraz łatwiej się było do sumień dobrać; a co komu wtenczas brakło, to teraz uzupełnił. Lud znany nam dobrze z poprzedniej misyi na wiosnę roku 1896 tu odbytej. Zmieniło się od tego czasu wiele ku lepszemu; ale też nieco i ku gorszemu. Pijaństwo, które wszędzie na pierwszy ogień bierzemy, tu ustało, chociaż między młodzieżą nie ma tej skrupulatności w dotrzymywaniu słowa P. Bogu danego, jakośmy w górach napotkali. Jedni sobie powiedzieli, że nie przy ołtarzu, ale na środku kościoła klęczeli kiedy było ślubowanie — i dalejże znowu gorzałkę wychylać; inni, że gorzałkę porzucili ale rum mogą pić; inni, że ręki na piersiach, czyli, jak powiadają „na sumieniu“ nie trzymali. Te i tym podobne wykręty zbałamuciły niektórych i powoli gorzałeczka zaczęła w modę powracać. Co smutniejsza: pojawiły się tu żywioły nowe przedtem nieznane. Lud tutejszy słynął z przywiązania do Kościoła i księży; po misyi nadeszły wybory, wichrzyciele odbywali tu i w okolicy zjazdy i wiecyki — i tymi wielu dało się zbałamucić. Być może, że z tego wytrzeźwieją; ale to posiew niebezpieczny.

Ogółem wyspowiadało się w czasie renowacyi przeszło 2000, t. j. prawie wszyscy z parafii zdatni do spowiedzi. Do ś. Trzeźwości przyjmowało się i na nowo i z powtórzeniem po kilka razy na dzień. Dałby Bóg żeby się Rudawianie wszyscy i ustatkowali i utrzymali.

F r y d r y c h o w i c e (misya).

Znowu tym razem jeden dzień tylko wytchnęliśmy u swoich w Krakowie, a zaraz na Sobotę 26 marca przenieśliśmy się pod Wadowice, by ukończyć prace w tym dekanacie. Na „Gorzkich żalach“ w Sobotę rozpoczęła się misya we Frydrychowicach. Przyjął nas gorąco i wspaniale ks. Dziekan i proboszcz miejscowy Klimczak. Do kościoła wprowadzono nas procesyonalnie; tu po wezwaniu Ducha Przenajśw. i serdecznej przemowie ks. Kanonika rozpoczęliśmy pracę misyjną. Porządek pracy za. chowaliśmy mniej więcej ten sam co w Witanowicach, bo i parafie obydwie co do liczby dusz prawie sobie równe. Lud równnież bardzo nam się nadał: skory, rączy, do kościoła i rzeczy bożych zawsze chętny. Od kilku lat trzyma sobie ks. proboszcz tutejszy na własny koszt wikaryuszów, na którą to posadę posyłała mu władza dyecezyalna prawie zawsze księży wprost ze Seminaryum świeżo wyświęconych. Sam zacny ten kapłan gorliwie nad parafią pracuje, a przy pomocy kapłanów gorliwych i pełnych dobrego ducha wyrobił lud piękny, pobożny jak w zakonie jakim. Wielką pomoc w pasterskiej pracy mieli księża tutejsi z Braci i Sióstr III Zakonu ś. Franciszka, który tu od kilkunastu lat wzorowo prowadzono. Tercyarze tutejsi nie są stosunkowo liczni, ale bardzo przykładnie i budująco się prowadzą. Niebawem ma tu stanąć klasztorek i kaplica dla Sióstr Serafitek, które będą ochronę i szkołę prowadzić; zaczem może się znaj-

dzie i szpitalik dla biednych wieśniaków, ma też być i schronisko pobożne, gdzie poczciwe siostrzyczki będą doroślejszych zbierać wieczorami i w chwilach od pracy wolnych, a zajmować ich czytaniem pobożnem, odmawianiem lub śpiewem różańca i pobożnych pieśni. Wszystko to wiele dobrego dla Frydrychowic zapowiada. Lud dobry, poczciwy i ofiarny, z chęcią podobne sprawy popiera. Od kilku lat założyli sobie kółko rolnicze i sklepik katolicki z czytelnią. Tu się w wolnych chwilach pod okiem zacnego Pasterza gromadzą; o karczmie nikt i nie wspomni. Co zaś grosza uzbierali w sklepiku katolickim, to z chęcią ofiarowali na przyozdobienie domu bożego. Mają też kościół drewniany wprawdzie (bo tu o kamienie trudno), ale tak pięknie odmalowany, starannie utrzymany i zaopatrzony w św. aparaty, że się nim chlubić mogą. Znowu nam tu dni misyjne miło i błogo przemijały i chociaż to już piąta nasza w tym roku praca, aniśmy nie wiedzieli, kiedy ta misya przeszła. Księża kondekonalni, chociaż i u siebie miał każdy pracę, jednak spieszyli wytrwale i regularnie z pomocą i prawie wszyscy z dekanatu się tu stawili. Pogoda cały czas misyi sprzyjała, jakby umyślnie jej Pan Bóg udzielił, chcąc pracownikom ułatwić przystęp do pola żniwa; bo wrazie słoty błota tu nieprzebyte. Ksiądz Żyła proboszcz z Radoczy prawie cały czas tu przebył z nami od wczesnego rana do zmroku codzień pilnie pracując w konfesyonale.

Wyspowiadało się wszystkich z górą 1500; i również wszyscy do bractwa ś. Trzeźwości się zapisali.

Graboszyce (misya).

W Piątek dnia 1 kwietnia w święto M. Boskiej Bolesnej rano skończyliśmy pracę we Frydrychowicach,

a na popołudniu przeprawiliśmy się dalej ku Zatorowi na ostatnią w tych stronach misyę do Graboszyc. Parafia maleńka, najmniejsza z całej dyecezyi, bo liczy tylko 500 dusz, ale lud ciężki, tępy, zaniedbany, prawdziwie było się do czego brać na 7 boleści. Dziwna to też była dla nas niespodzianka po takich Frydrychowicach i innych parafiach, któreśmy w tym roku przeszli: tam ciepłe serca rozruszane, pojętne; a tutejsi bardzo ciężcy. Niektórzy mieszkają za Skawą, niema mostu, tylko tak muszą przez wodę w lecie i w zimie przechodzić; ale ci jeszcze najwierniejsi i najchętniejsi dla kościoła, — nie tacy zaraz ze sąsiedztwa. Niby się i cieszyli tą misyą, że i takiej maleńkiej parafii w „pospolitem ruszeniu“ nie pominięto, ale zbytniej ciekawości nie okazali. Do spowiedzi mieliśmy 300, licząc i starych i dzieci razem. Na to nas było trzech, a i ks. Żyła w Radoczy o nas nie zapomniał. Dzielić, naturalnie tak małej garstki nie było co, wzięliśmy wszystkich odrazu. Już w Wielki Poniedziałek d. 4 kwietnia poświęciliśmy krzyż misyjny; zaprowadziliśmy kanonicznie Stacye Drogi Krzyżowej; popołudniu jeszcze się spowiadało nieco niedobitków, poprawek, tudzież dzieci (pierwszą spowiedzią), a nazajutrz raniutko odesłano nas powozem zacnego Kolatora p. Chrząszcza do Zatora, stąd koleją przez Skawinę przybyliśmy na święta do swoich.

(D. c, n.).

Anglia.

Kilka szczegółów o rozwijającej się działalności Sióstr Miłosierdzia w Londynie.

Z okazyi śmierci powszechnie szanowanej siostry Maryi Châtelain, przełożonej pierwszego domu Sióstr Miło-

sierdzia w Londynie, uważaliśmy za stósowne zebrać kilka szczegółów o początkowej działalności Sióstr w tej stolicy.

Kiedy kardynał Wisemann przybył do Londynu w roku 1850 w chwili, kiedy Bóg chciał na nowo ustanowić w Anglii hierarchię katolicką, zapragnął usilnie polepszenia opłakanego stanu, zwłaszcza pod względem duchownym, biednych znajdujących się w obszernem tem mieście. Szukał zgromadzenia zakonnego, któreby go wsparło w tem wielkiem przedsięwzięciu, lecz jedno z tej, drugie z owej przyczyny od tego się wymawiało. Kilka pań pobożnych zajmujących się dziełami dobroczynnemi, radziły mu udać się do Sióstr Miłosierdzia, a Wielebny Ojciec, późniejszy kardynał, Manning, który właśnie założył był swoje Zgromadzenie Oblatów św. Karola, popierał bardzo ten projekt.

Zapytywano się, czy mogłyby się siostry pokazywać w swem ubraniu na ulicach Londynu. Prawo jedno zakazywało noszenia publicznie sukni duchownej, a chociaż ono się nie odnosiło do zakonnic, mimo to nie odważały one się wystąpić publicznie, z obawy, aby się nie narazić na obelgi protestantów, gdyż wszędzie wtedy były umysły bardzo wzburzone na katolików. Udało się tymczasem sprowadzić Siostry Miłosierdzia do Sheffield, a więc, czyż nie możnaby tego samego popróbować w Londynie?

Przystał na tę propozycyę kardynał, a panie, zwłaszcza lady Georgiana Fullerton, prosiły Przełożonego generalnego, ks. Étienne, żeby im dał trzy Siostry Miłosierdzia, któreby rozpoczęły dzieło swe w Londynie. Po kilku naradach zgodził się na to ks. Étienne, a 22 czerwca 1859 przybyły do Londynu dwie siostry, siostra Marya Châtelain i siostra Wincenta Farelle. Lady Georgiana zadowolona i dumna, lecz zarazem przejęta pewną obawą o wrażenie, jakie pojawienie się sióstr sprawi, przybyła

sama po nie na dworzec i odwiozła je we własnym powozie do swego domu.

Tu pokazało się, że poczciwe panie nie mogły dotąd jeszcze znaleźć odpowiedniego pomieszkania dla sióstr, a jedna z nich, świeżo nawrócona, ofiarowała im dom, który wynajęła na małej ulicy de Westminster, w dzielnicy nadzwyczaj biednej i nędznej. Urządziła w jednej części tego domu pralnię, aby dać pracę biednym kobietom ze sąsiedztwa; a siostry mogły zająć resztę pomieszkania. Już wieczorem po przybyciu rozlokowały się tam siostry obydwie. Pewna panienka, która była nauczycielką małej katolickiej szkoły parafialnej, ofiarowała im się na przewodniczkę do kościoła, aby mogły być obecne na błogosławieństwie, lecz skoro tylko pokazały się na ulicy dwa kornety, zaraz zwrócił się ku nim tłum z groźnymi krzykami.

Na szczęście znalazło się kilku żołnierzy, którzy w eskorcie odprowadzili siostry do kościoła; czekali na ich wyjście, aby je znowu bezpiecznie odprowadzić do ich biednego domku. Przez dłuższy czas żołnierze ci, (którzy zapewne poznali Siostry Miłosierdzia na Krymie), poczytywali sobie za obowiązek bronić je; często sierżant, mający większą w mieście powagę, musiał ich wspomagać, aby powstrzymać gawiedź uliczną od rzucania kamieni i błota na siostry, które prześladowano okrzykami: „Papist Nuns“ Zakonnice papieskie i t. d. Zwolna jednak przekonał się ten biedny motłoch, że chociaż siostry są katolickie, nie wyrządzają jednak żadnej krzywdy nikomu, lecz owszem, czynią dużo dobrego wszystkim. Uprzedzenie niedługo potem ustało, a siostry mogły już wychodzić swobodnie.

Dziwnem zaiste jest to, że siostra Châtelain, która narażała się na krzyki, kamienie i błoto przed czterdziestu laty, i której zadaniem było położyć kamień węgielny

pod dzieło św. Wincentego w Londynie, doznała tej pociechy, że oglądała jeszcze rozwinięcie się tego dzieła, rozmnożenie się domów i powiększenie szacunku Sióstr Miłosierdzia? W dniu jej pogrzebu po tych samych ulicach, gdzie dawniej ją znieważano pociskami, podążał duży pochód towarzysząc białej trumnie, zawierającej szczątki jej. Siostry postępowały po cztery, parami za niemi sieroty, dzieci szkolne i wielka ilość ubogich, z których wielu płakało. Jakaż to różnica między tym dniem a owym, w którym obie te siostry ze drżeniem prawie wróciły do mieszkania swego, i w którym zapewnie stawiły sobie pytanie, jakżeż odważymy się pokazać powtórnie na ulicach tego Londynu, który nam zgotował tak odstraszające przyjęcie?

Wkrótce trzecia siostra powiększyła tę małą rodzinę, a w kilka dni później przedstawiła się pierwsza postulantka. Ta młoda postulantka, obecnie siostra służebna jednego wielkiego domu, udzieliła nam kilku szczegółów o pierwszych dniach swego pobytu w zgromadzeniu. Pokazuje się, że dom pod 22 numerem na York street był o ile sobie tylko można wyobrazić pełnym niewygody, nędzy a nawet brudu. Nie miały zaiste zamiaru te panie tam siostry umieścić; lecz ponieważ nie mogły znaleźć domu odpowiedniego, obrały ten w braku lepszego. W mniemaniu, że nie opłaci się go odnawiać, umieszczono w nim po prostu sprzęty niezbędne: kilka nędznych łóżek, dwa lub trzy stoły i kilka stołków, które wrazie potrzeby przenoszono z pokoju jednego do drugiego. Urządzenie w kuchni było najprostsze. W starym garncu zapożyczonym umieszczano kawał mięsa, które się ugotowało lub nie, stosownie do kaprysów ognia, bo nikt o to się nie starał, a siostry miały zanadto dużo pracy gdzieindziej.

Na kolacyę kontentowano się często zupą owsianą.

Panie często odwiedzały siostry; okazywały względem nich wielką troskliwość i przychylność, starały się rozpocząć działanie i zabezpieczyć utrzymanie biednym; nikt jednak nie myślał, że siostry w tej chwili mają potrzeby osobiste. Przyczyna tego pochodziła ze strony sióstr, bo były zawsze zadowolone, wesołe i nic dla siebie nie żądały; prawdopodobnie nikt się nawet nie domyśliwał ich niedostatków.

Znalazły się również inne jeszcze niedogodności; biedne kobiety przychodzące pracować, a nad któremi siostry nie miały zwierzchności, ustawicznie tam i napowrót przechodziły przez dom, który miał tylko jedne drzwi wchodowe. Niestety znajdowali się tam jeszcze inni mieszkańcy: oto dom był jeszcze zarażony mnóstwem pluskiew, które będąc przez dłuższy czas paniami położenia, nie dały się tak łatwo wytępić.

Pomimo wszystkich tych trudności, zajęły się siostry pracą z całą odwagą. Rozpoczęły zaraz odwiedzać biednych, oraz pouczać pod względem religijnym dzieci i nowonawróconych. Patent towarzystwa dzieci Maryi nosi datę z dnia 16 września 1859, pokazuje się zatem, że spieszono się z jego założeniem, oraz także zawiązaniem stowarzyszenia Świętych Aniołów dla dzieci młodszych. Najęto dosyć obszerne schronisko ponad jedną stajnią, wchodzono tam za pomocą drabinki i urządzono tam żłobek. W pierwszych dniach przynosiły tam matki swe dzieci, dla całodziennej pielęgnacyi ich. Niedługo potem wzięły na siebie siostry staranie o kilku biednych istotkach zupełnie opuszczonych. Taż sama postulantka, przypatrująca się tym początkom, przypomina sobie jeszcze pierwsze święto św. Wincentego w roku 1859. Jego Em. kardynał Wiseman raczył sam odprawić mszę św. w małem domowem oratoryum, w którym Pan Nasz podzielał ubóstwo swych oblubienic. Po południu przy-

były także lady Georgiana i panna Taylor (ta ostatnia założyła potem zgromadzenie zakonne); aby także wziąć udział w uroczystości, wypiły filiżankę herbaty pod nędznem drzewem bardzo brudnem, które stanowiło jedyną ozdobę małego domowego podwórza. Postulantka była dumna z tego, że mogła przynieść na swych rękach pierwszę dziecię ze schroniska, które było niewątpliwie przedmiotem podziwu zacnych tych pań.

Jednym z pierwszych przyjaciół naszych sióstr był Czcigodny ks. Manning wówczas superior Oblatów św. Karola, których założył w Londynie.

Swięty ten kapłan, tak znany i szacowany, często odprawiał siostrom mszę św. i był także ich spowiednikiem. Oratoryum było tak szczupłe, że aby się spowiadać, musiały siostry czekać na swą kolej na schodkach. Aż do końca długiego swego życia okazywał się zawsze kardynał przyjacielem Sióstr Miłosierdzia. Przez przeszło dwadzieścia lat nigdy nie omieszkał je odwiedzić w każde święto św. Wincentego, nawet wtedy, kiedy zamiast dwóch pań przyjmowała kaplica tłum przyjaciół naszych sióstr, i kiedy zamiast jednego dziecka miały już setki dzieci pod swoją opieką.

Lecz należy nam wrócić do roku 1859. Przedstawiła się druga postulantka: była to dwudziestoczteroletnia panienka, przyzwyczajona do wszelkich wygód, zdobna we wszelkie przymioty, którymiby się mogła podobać światu. Była ona tak wesoła i tyle miała swobody wśród niedostatku i rzeczywistego ubóstwa naszych sióstr, iż poczciwy ks. Manning widząc, że jest nieco roztrzepana, pytał się z jakimś niepokojem siostrę Châtelain, czy myśli ją zatrzymać. Na szczęście umiała ją ocenić siostra Châtelain; bo tą młodą postulantką była nasza droga siostra Robinson, która była przez wiele lat wzorową siostrą służebną; umarła w uroczystość Niepokala-

nego Poczęcia 1896, zostawiając po sobie wspomnienie bardzo budujące.

Wreszcie opuściły siostry York street, gdyż panie wynajęły odpowiedni dom, który zajęto 11 lipca 1860 r. Wtedy wzrosła ich liczba do pięciu czy siedmiu, a dzieło rozwinęło się dość znacznie.

Zaczęto przyjmować sieroty, otworzono małą klasę dla dziewcząt średniego stanu, które były wystawione na niebezpieczeństwo uczęszczania do szkół protestanckich. W tym także czasie zaczęło się rozwijać inne nie mniej interesujące dzieło. Była to mianowicie szkoła wieczorna dla chłopców, a nawet mężczyzn z klasy najuboższej. Z ochotą przepędzali oni wieczory na uczeniu się czytania i pisania, a zwłaszcza na uczeniu się zasad religijnych; wielu z nich bowiem niemiało o nich pojęcia. Z podziwem patrzono na tych biednych ludzi, którzy byli, o ile sobie tylko wystawić można, najciemniejsi i którzy jak dzieci uległe dali się siostrom prowadzić. Dzieło, które dalej jeszcze trwa, zrobiło i robi dużo dobrego.

Od czasu przybycia sióstr do Londynu, siostrę Châtelain czczono powszechnie. Doznawała szacunku nietylko od pań, lecz także od duchowieństwa i od wszystkich, którzy mieli z nią jakiekolwiek stosunki. W owym czasie umiała zaledwie kilka słów angielskich; lecz jej oblicze skupione, pokora, a zwłaszcza jej miłosierdzie i poświęcenie dla biednych, pozyskały dla niej poważanie powszechne. Atoli położenie naszych sióstr w Londynie było jeszcze nadzwyczaj niepewne, nic jeszcze stale nie było urządzone. Dom na Park street wynajęły panie na trzy lata, lecz, że mieszkanie było za szczupłe, dzieła nie mogły się tam rozwijać, zwłaszcza, że dochody były zupełnie niepewne. Bóg zechciał otoczyć dzieło świętego Wincentego swem błogosławieństwem, wybrał sobie także na to narzędzie, które zawsze jest pokornem i ukrytem.

W chwili, kiedy panie zastanawiały się nad tem, w jaki sposób możnaby rozszerzyć działalność sióstr i zapewnić ich przyszłość, zaofiarowała właśnie ta panna nietylko całą swą fortunę, lecz nawet własną osobę. Nie była już wcale młodą, bo przepędziła swe życie aż do 34-go roku na świecie, ciesząc się spokojnem życiem wśród wygód właściwych znakomitym rodzinom. Wiele lat zarządzała zamkiem swego brata, rozpościerając dokoła swą dobroczynność, lecz po latach uczuła, że więcej żąda od niej Pan nasz, i tknięta łaską Bożą, wstąpiła do postulatu. Dom zastała jeszcze tak ubogim, iż nie było nawet stołka dla postulantki. Ilekroć chciała usiąść, musiała sobie przynieść do pokoju drewnianą ławkę z refektarza.

Dała nietylko wszystko, co było koniecznie potrzebnem dla domu Park street, lecz prócz tego znaczną sumę pieniędzy, na zakupienie gruntu. Zaczęto zatem budowę domu 3 maja 1863. Choć dom jeszcze nie był zupełnie ukończony, przeniosły się do niego siostry z kilku sierotami. Niebawem wzrosła liczba sierót do stu, lecz obok tego zajmowano się i innemi dziełami św. Wincentego, jak: odwiedzaniem chorych w dwóch rozległych parafiach, ochronką, nauką w szkole, religijnemi konferencyami z nowo-nawróconymi i różnemi stowarzyszeniami. Nieco później otwierano corocznie zimową porą kuchnię, gdzie setki biednych, zarówno niewiast jak mężczyzn, otrzymywało zupę i chleb. Siostra Eyston udała się po przywdzianiu sukni do Boulogne; następnie wróciła do Londynu do domu Miłosierdzia na „Carlisle Place“ i tam oddała się na usługę biednych. Jej pokora dorównywała jej miłosierdziu; podejmowała się każdej pracy najtwardszej i najwstrętniejszej w przekonaniu, że się jej koniecznie podjąć powinna, słowem poświęciła się zupeł-

nie dla biednych. Umarła w lutym roku 1895, zostawiając wielką pustkę w małej rodzinie na Carlisle Place.

Aczkolwiek trwały te dzieła rozpoczęte z pomocą środków tak mało wystarczających, lecz niedziało się to bez trudu; dom na Carlisle Place doznawał zawsze szczególniejszej opieki Opatrzności Bożej, bo nie miał stałych funduszów i utrzymywał się z dnia na dzień. Dobrze zatem powiedział kardynał Manning siostrze Châtelain: „Nie obawiajcie się; jesteście bardzo bogatemi, skarbnicą waszą jest Opatrzność, a Bóg nie przestanie was wspierać w dobroci swej“.

Ojciec Étienne zajmował się zawsze z szczególniejszą pilnością fundacyą londyńską. Już w 1863 roku nawiedził siostry. Wyobrazić sobie można radość, z jaką przyjęły jego wizytę, zwłaszcza siostra Châtelain, która miała głębokie uszanowanie dla tego dobrego Ojca, którego listy i zachęty podtrzymywały ją we wszelkich jej trudnościach. Z pokory i zaparcia się spaliła przed śmiercią te wszystkie drogocenne listy; znalazł się jeden tylko, w którym czytamy następujące słowa: „Tak, moja córko, wspaniałe posłannictwo otwiera się dla ciebie w Wielkiej Brytanii, bo tam ma Zgromadzenie wiele dobrego zdziałać; lecz pod tym jedynie warunkiem, żeby postępować z mądrością i roztropnością, a zwłaszcza, żeby wszystko rozpoczynać i działać według ducha św. Wincentego“.

Słowa te pisane w r. 1867 spełniły się cudownie, albowiem odtąd założono około pięćdziesiąt domów w Wielkiej Brytanii, a Bóg chciał użyć narzędzi słabych do spełniania dzieł, które miały Mu przynieść chwałę a duszom zbawienie.

Ponieważ zaś teraz siostra Châtelain przeszła do krainy wybranych, bez uszczerbku dla jej pokory możemy

o niej wydać to świadectwo, że doskonale stosowała się do przestróg dawanych sobie przez ks. Étienne, bo działała pokornie, zdala od maksym światowych i z miłością ku biednym, spełniła wszystko według ducha św. Wincentego.

KRONIKA.

Kraków. *Rekolekcye dla kapłanów.* Pod koniec sierpnia (25—28), księża katecheci galicyjscy zebrali się w naszym domu na Stradomiu dla odprawienia pierwszych swoich rekolekcyi. Zebrało się ich 31 ze wszystkich stron Galicyi; budowali nas swojem skupieniem ducha.

Od 20—23 września księża dyecezyi Krakowskiej w liczbie 70-u z J. E. Księciem Biskupem na czele, odprawili tamże rekolekcye pod przewodnictwem J. X. Lewandowskiego.

Witków Nowy. Oto nazwa nowej stacyi misyjnej w naszej prowincyi. J. E. Marszałek Kraj. hr. St. Badeni od kilku lat zapraszał Misyonarzy, by się osiedlili w jego dobrach i pracą swoją objęli ludność okoliczną. Jako stacyą ofiarował ekspozyturę probostwa Witków Nowy, w którym jest kościół i klasztór po O. O. Augustyanach i utrzymanie księży, którzyby tam osiedli, zobowiązał się zabezpieczyć. Przyjął wreszcie J. X. Wizytator usilnie popieraną propozycyę J. E. Marszałka i z dniem 27 września zaczęli tam pracę misyonarską trzej konfratrzy, a mianowicie J. X. Rossman jako głowa tej drużyny misyonarskiej i XX. Grabowski i Trawniczek. Szczęść im Boże w pracy, którą nabożeństwem w dniu św. Wincentego rozpoczęli!

Austrya. W tym roku założono pierwszy dom na Węgrzech, w Pilis-Czaba z fundacyi arcyks. Józefa; 24 kwietnia został nowy dom i kościół pod wezwaniem Matki

Boskiej od Cudownego Medalu uroczyście poświęcony. J. E. ks. biskup zdaje się być bardzo zadowolony, że misyonarze osiedli w jego dyecezyi, a w pięknej mowie do wiernych, zgromadzonych z okazyi poświęcenia kościoła zachęcił wszystkich, by jak najchętniej uczęszczali do nowej świątyni i korzystali z nauk i misyi nowych apostołów. J. W. arcyks. Józef nie mógł być obecnym na tej uroczystości, ale za to nadesłał szczery list, w którym dziękuje Bogu, że wreszcie osiedli w ziemi Węgierskiej misyonarze, którzy biedny lud nauczać i oświecać będą.

Francya. Siostra Hébrard opowiada o kilku uzdrowieniach, uzyskanych w Saint-Vullier za wstawiennictwem świętobliwej Ludwiki de Marillac:

„Dziewczynka, licząca lat 9, zachorowała nagle, jej cierpienia powiększały się z każdą chwilą. Posłano po mnie; straszny widok przedstawił się moim oczom; dziewczynka zupełnie zmieniona, tarzała się w niewymownych boleściach. Uciekłam się do naszej Świątobliwej Matki, położyłam na czoło biednej chorej dziewczynki Jej relikwie i prosiłam matkę chorego dziecka, aby przystąpiła do Sakramentów św., których zaniedbywała już od dawnego czasu. Po kilku chwilach dziewczynka była całkiem zdrową, nadzwyczajna tylko bladość świadczyła o okropnych boleściach strasznej choroby“.

Wyraźny ten cud rozszerzył się niebawem w całej okolicy, każdy chory udawał się o pomoc do świątobl. Ludwiki de Marillac. Pewna matka n. p. oczekiwała już 4 dni wśród niewypowiedzianych boleści przyjścia na świat dziecięcia. Wszelka pomoc, wszystkie środki były daremne. Wezwano tę samą siostrę, która położyła na chorej kawałeczek relikwii świątobl. Ludwiki de Marillac, prosząc, by dziecku wrazie szczęśliwego porodu dać imię czcigodnej założycielki Sióstr Miłosierdzia. W kilka

minut po tem dziękowała chora matka Bogu za szczęśliwy poród, uzyskany za wstawiennictwem świątobliwej Ludwiki de Marillac.

Wkrótce potem uzyskała zdrowie pewna pani, cierpiąca na astmę tak bardzo, że lekarze przepowiedzieli rychły jej koniec. Dziś jest owa pani zdrowa i szczególniejszą wdzięczność żywi dla świętobl. Siostry Ludwiki de Marillac.

Belgia. Bruksella. Siostra Destoop zawiadamia matkę Lamartinie, że księżna Klementyna, córka króla belgijskiego, została w ostatnich czasach honorową przełożoną domu podrzutków. Korzystając zarazem z tej okazyi donosi Jej, że zakład jest starannie utrzymywany, że pomiędzy tamtejszymi paniami wiele jest dobrodziejek tego miłosiernego dzieła. Spodziewa się, że zakład się jeszcze więcej rozszerzy i większem powodzeniem cieszyć się będzie od czasu, gdy księżna Klementyna tak bardzo się do niego zbliżyła. I rzeczywiście nadzieja nie zawiodła, bo księżna wkrótce po objęciu urzędu honorowej przełożonej zaszczyciła zakład swoją obecnością. Zwiedziła najpierw salę, w której się znajdowało 24 małych dzieci od 5 dni aż do 18 miesięcy, następnie udała się do sali, w której było 36 dzieci od 18 miesięcy do 3 lat. W końcu zaprowadzono ją do szkoły, liczącej 30 dzieci; po kolei zwiedzała każdą klase, rozmawiała z dziećmi, chwaliła ich posłuszeństwo, zamiłowanie porządku i wszystkich zachęcała do pilnej nauki. Była zachwycona wzorowym porządkiem, którym rzeczywiście cały zakład odznacza się, dziwiła się czerstwym i zdrowym twarzyczkom wszystkich dzieci, ich czystemu ubraniu, a z jej słów można było wywnioskować, że wrażenie, które odniosła z odwiedzin domu podrzutków, nie tak łatwo się zatrze i że nietylko z imienia przełożoną tego miłosiernego dzieła będzie.

Włochy. Rzym. Wiadomo, że już dawno zamierzano otworzyć w Rzymie dom międzynarodowy, przeznaczony dla księży i kleryków Zgromadzenia wszystkich prowincyj, ażeby się tutaj gruntownie wykształcili w naukach teologicznych, słuchając wykładów znakomitych profesorów na głośnych uniwersytetach czyto Minerwy, gdzie wykładają Dominikanie, czy Gregorianum, na którym profesorami są OO. Jezuici, czy też wreszcie u św. Apolinarego, by tu otrzymać tytuł doktora teologii, filozofii lub też prawa kanonicznego.

Zamiar ten przyszedł do skutku na początku roku 1893 a Ojciec św. potwierdził go dnia 25 stycznia tegoż roku na uroczystej audyencyi, której łaskawie udzielił członkom obydwóch rodzin św. Wincentego. Zrazu byłto dom wynajęty na ulicy św. Krzyża pod liczbą 34. (via della Croce 34). Po 2 latach nabyło Zgromadzenie dany hotel paryski (albergo di Parigi) na ulicy San Nicolo da Tolentino pod liczbą 67. Jestto wspaniały gmach, położony w bardzo zdrowej dzielnicy miasta, blisko rynku i dworca, bardzo wygodny i tak obszerny, że dogodnie mogą się w nim pomieścić liczni członkowie z wszystkich prowincyj. I w rzeczy samej mieszkało w tym domu już 38 konfratrów z rozmaitych prowincyj jak z Francyi, Niemiec, Austryi, Hiszpanii, Irlandyi i Ameryki. Z naszego domu na Kleparzu było wśród nich 3 konfratrów. Ks. Józef Gaworzewski ukończywszy już nauki i otrzymawszy stopień doktora filozofii i teologii, powrócił w lipcu b. r. do Krakowa, dwaj inni konfratrzy Antoni Buczkowski i Antoni Weiss nie ukończyli jeszcze swoich studyów.

Pierwszym superiorem nowego domu był Msgr. Thomas, drugim ks. Flarvian Démiautte, dawniejszy superyor W. seminaryum w Tours — a obecnie świeżo został mianowany ks. Debruyne z Evreux.

Kilka pokoi jest przeznaczonych dla biskupów, którzyby pragnęli zamieszkać w tym domu w czasie swojego pobytu w Rzymie. I tak np. zawitał tu w marcu b. r. J. Em. ks. kardynał Labouré, arcybiskup z Rennes, który przybył do Rzymu aby otrzymać od Ojca św. kapelusz kardynalski. Dom ten wtedy był nader uczęszczany, bo liczne składano nowemu kardynałowi wizyty. 30 zaś marca podejmował w tymże domu ks. kard. Labouré na obiedzie licznych gości a między nimi 5 kardynałów, ambasadora francuskiego i wielu arcybiskupów i biskupów.

Ks. Pal'ma donosi nam o ciekawym wypadku, zaszłym podczas misyi w Pietra Montecorvino. Kilku bezbożników, znanych w całem mieście, postanowiło wzniecić hałas podczas kazania w kościele. Kapłan wysławiał właśnie w podniosłych słowach cuda, uzyskane za pośrednictwem Cudownego Medalu, co tak wzruszyło i owych niegodziwców, że wszyscy bez wyjątku postanowili natychmiast się wyspowiadać i zmienić dotychczasowe postępowanie.

Ameryka. Stany Zjednoczone. Każdy już wiele słyszał o zgubnych skutkach żółtej febry, każdemu wiadomo, jak wielką klęską jest ta straszna choroba. Nieszczęśliwe są doprawdy te kraje, w których ona się stale rozgościła, zwłaszcza ze względu na przebywających tam europejczyków, bo prędzej czy później padną jej ofiarą. Nie oszczędza nawet młodych misyonarzy, którzy, pełni zapału zaparcia się samych siebie, ojczyzny, rodziny i wszystkiego, co im było najdroższego na tej ziemi, zapuścili się w kraje podzwrotnikowe, ażeby tutaj ogłaszać ewangelią Chrystusową — a czasami już po kilku tygodniach umierać muszą zdala od ojczyzny.

To też nic dziwnego, że ogólny popłoch panuje, gdy się zjawia w pogranicznych krajach jak np. w No-

wym-Orleanie, dokąd pod koniec zeszłego roku zawitała.

Z listów Sióstr Miłosierdzia z 1 października do 15 listopada, dowiadujemy się, że nie mniejsze było przerażenie mieszkańców Nowego-Orleanu na wieść o tej chorobie jak u nas, gdy ktoś na cholerę zapadnie.

Już w r. 1878 grasowała tu ta straszna choroba; okropny widok przedstawiało wyludnione prawie miasto. Od tego czasu był tu spokój. Dopiero w połowie września zeszłego roku przywiózł ją na nowo okręt z Antyl do miejsca kąpielowego nad zatoką meksykańską w pobliżu Nowego Orleanu.

Całe miasto się przeraziło, żywo stanęły przed oczami mieszkańców straszne spustoszenia tej choroby z roku 1878. Każdy myślał tylko o własnem bezpieczeństwie, każdy chciał uciekać przed groźnym aniołem śmierci. Przerażenie było tak wielkie, że tysiące osób w tymsamym jeszcze dniu opuściło miasto, a kto dla braku środków ucieczką ratować się nie mógł, opuścił ręce, zaniedbał pracę, pogrążył się w czarnych myślach i z żałosnem sercem oczekiwał na nieuniknioną śmierć. Formalny szał ogarnął niektóre umysły; niektórzy zapaleńcy zniszczyli tor kolejowy, inni prowianty, które chciano wprowadzić do miasta, ażeby tylko powstrzymać szybkie postępy znienawidzonej choroby.

Szkoły pozamykano, ściśle przestrzegano kwarantannę, urządzono po za murami miasta wielkie baraki dla chorych, ale pomimo tych i innych środków bezpieczeństwa, przedsięwziętych ze strony władzy miejscowej, żółta febra wdarła się do miasta i tu rozpanoszyła się we wszystkich jego dzielnicach a szczególniej między krajowcami. 900 chorych było już w barakach po za miastem, ale śmiertelność była stosunkowo mała i nowa nadzieja wstąpiła w zrozpaczone już serca. Niestety, na-

dzieja tymrazem zawiodła, bo choroba zamieniła się w formalną zarazę, tak, że nowych chorych niepodobna było umieścić w wspólnych barakach. Miejscowe władze z konieczności inny jakiś budynek przeznaczyć musiały na baraki, zdawało im się, że najbardziej się do tego nada szkoła Bauregard, zwłaszcza, że znajdowała się w ubogiej i stosunkowo bardzo słabo zaludnionej dzielnicy miasta. Powołano cztery Siostry do posługi chorych w nowym szpitalu, wszystkie przygotowania były już prawie ukończone. Tymczasem stało się coś, czego władze miejscowe się wcale nie spodziewały. Lud nanowo rozgoryczony i zrozpaczony w żaden sposób zgodzić się nie chciał, by baraki znajdowały się wśród murów miasta. Rozpoczęto od kilku demonstracyj a następnie wybrano kilku z pośród siebie, ażeby przedstawili swoje zażalenia naczelnemu lekarzowi. Ten starał się ich uspokoić, ale ci stanowczo oświadczyli, że w razie, gdyby jakiego chorego w tej dawniejszej szkole umieścili, siły użyją. Całe tłumy otoczyły szkołę, żądając, by lekarze i Siostry dom opuściły. Ich groźby były tak straszne, że jeszcze na noc musiano opróżnić szpital i dom opuścić. Około północy, gdy cisza zaległa nad miastem, dwóch zapaleńców wdarło się do szkoły, wtoczyli beczkę nafty do mieszkania stróża i podpalili ją. Niebawem stanął cały budynek w jasnych płomieniach, ale straż ogniowa tak energicznie zabrała się do roboty, że potrafiono ocalić jeszcze główny budynek, pomimo tego, że zapaleńcy kilka rur przecięli.

Burmistrz miasta nie dał się odstraszyć tym zuchwałym postępkiem od raz przedsięwziętego zamiaru i niebawem był szpital znowu gotowy i zaopatrzony w odpowiednie rzeczy. Poświęcił go ks. Byrne, superyor w naszym domu św. Józefa a zarazem proboszcz parafii i obiecał odprawiać codziennie w nim mszę św.

Siostry z poświęceniem pielęgnowały chorych, ze wszystkich domów się tu zbiegły, byleby tylko chorym dobrze się działo. Powoli też zmniejszała się zaraza — a gdy niebawem mrozy nastały, to i zaraza znikła. Stosunkowo nie wielu umarło; z misyonarzy, którzy chorych przygotowywali na śmierć, nikt się nie zaraził. Zachorowały trzy Siostry, dwie wyzdrowiały, najmłodsza wśród nich poszła po nagrodę do nieba.

Kolumbia. Misyonarze i Siostry Miłosierdzia pracują z wielkiem powodzeniem w Popayan, w Cali i w Santa Rosa de Cubal. Pan Bóg błogosławi im widocznie w ich trudnych obowiązkach i Swoją opieką ich otacza.

W domu w Popayan jest pod ich dyrekcyą Małe i Wielkie Seminaryum, a ponieważ brak księży bardzo odczuwać się daje, zwłaszcza, że dyecezya zbyt wielka iż parafie zanadto rozrzucone, więc też gorliwie oddają się pracy parafialnej; nadto jeżdżą po misyach.

O ich gorliwej pracy dowiadujemy się od J. Eks. ks. Emanuela Józefa de Cayzedo, biskupa z Popayan, który w przepięknym liście do Ojca Generała dziękuje Panu Bogu, że posłał mu na pomoc tak zacnych i pracowitych kapłanów. Przedewszystkiem jest zadowolony z księży Pron i Malézieux, którzy prowadzą jego seminaryum, buduje się ich życiem pobożnem i gorliwą a roztropną pracą około powierzonych sobie alumnów. Kończąc zaś list wyraża swój żal, iż szczupłe jego dochody nie pozwalają mu utrzymać większej liczby misyonarzy.

Misye w Quindio. Z religijnego tygodnika, który wychodzi w Popayan, dowiadujemy się o kilku szczegółach, dotyczących tychże misyj.

Na ogromnym obszarze ziemi, gdzie komunikacya jak najgorsza, ale klimat bardzo zdrowy, jest rozrzuconych 40.000 mieszkańców, pochodzenia antyocheńskiego. Mieszkają w Salento, Filandii, Circasii, Montenegro

i w Calarca. Obszar zbyt wielki a księży na nieszczęście tak mało, że biedni ludzie są prawie zupełnie opuszczeni. Żywo odczuwa ich potrzeby J. Eks. ks. biskup, a żeby temu zaradzić, urządza od czasu do czasu misye, do których używa naszych gorliwych konfratrów.

Ich mozolne prace, niezachwiana ufność, że im Pan Bóg pomoże, błogosławieństwo niebios i błogie owoce ich misyjnych trudów powinny zachęcać do gorliwej pracy wszystkich, którzy bliżej ludem się zajmują.

Misyonarze urządzili najpierw misyą w mieście Filandia. Tutejszy proboszcz Don Jezus Marya Restrepo przygotował swoich parafian na przybycie misyonarzy — to też zapał ich był wielki, gdy do nich przybyli. Ks., Wilhelm Rojas (Rochas) przeznaczył 15 dni na tę misyą, ale lud, tknięty łaską Bożą, napływał w tak wielkich masach, że misya trzy tygodnie trwała. Wyspowiadano 3241 dusz i pobłogosławiono 11 małżeństw. Liczba małżeństw stosunkowo bardzo niewielka, a to dlatego, że i tutaj według zwyczaju wschodniego w młodym jeszcze wieku wchodzą w związek małżeński.

W innych miejscowościach upadali misyonarze pod brzemieniem niesłychanie trudnej pracy. Drogi zupełnie zaniedbane, nie było kościołów, trzeba było ćwiczenia odprawiać pod gołem niebem, a naprędce zamienić salę na kaplicę, by módz odprawić mszę św. A jednak błogo było im pracować, bo lud garnął się całem sercem do Boga, zdaleka przychodzili na misyą, a mimo niepogody, deszczu i przejmującego zimna wiernie i sumiennie brali udział w wszystkich ćwiczeniach.

Rzp. Argentyńska. Corrales, w pobliżu Buenos Aires. Siostra Poujol donosi, że miejscowa władza im bardzo sprzyja i że dzięki temu wybudowały kaplicę, która została uroczyście poświęcona 29 września zeszłego roku. Lud był dotychczas w tej okolicy zupełnie zaniedbany,

nikt nie troszczył się o ich duszę, ale od tego czasu wszystko się zmieniło. J. Eks. ks. arcybiskup jest bardzo zadowolony, widząc, że P. Bóg tak widocznie błogosławi dziełu Sióstr Miłosierdzia.

Chiny. Pekin. Konsekracya Mgra Alfonsa Favier, biskupa koadjutora Mgra Sarthou. Dnia 20 lutego b. r. odbyła się w Pekinie konsekracya ks. biskupa Mgra Alfonsa Favier, mianowanego przez Jego Świątobliwość koadjutorem i przyszłym następcą Mgra Sarthou, którego zdrowie zanadto już wyniszczyły prace apostolskie.

Ceremonia ta, pisze jeden z misyonarzy z Pekinu, była istną manifestacyą na cześć świętej naszej religii. Oprócz dwunastu ministrów, reprezentujących swe państwa w Pekinie, wraz z wszystkiemi niemal europejczykami stolicy, wzięli w niej udział: wicekról, gubernator miasta, członkowie Tsoung-liYamen'u, tudzież dwunastu książąt mongolskich z rodziny cesarskiej. Trzy tysiące z górą chrześcijan z całego wikaryatu zapełniał katedrę Zbawiciela w Pei-T'ang'u, a drugie tyle pogan oblegało ją na zewnątrz.

Mgr Brugière, Misyonarz, dopełnił obrzędu konsekracyi w asystencyi Mgra Bulté, Jezuity, tudzież Mgra Abelsa, Misyj Belgijskich. Mgr Sarthou, wikaryusz apostolski Pekinu, mimo swej słabości wziął również udział w uroczystości. Nastąpiło śniadanie, na którem nowo konsekrowany biskup podziękował obecnym w gorących słowach za udział w uroczystości, wyrażając życzenie, żeby raz „jedna wiara i jedna miłość wszystkich w jedno złączyła".

Cesarz, dowiedziawszy się o wyniesieniu Mgra Favier do godności biskupiej, przysłał mu na kilka dni przedtem czapkę mandaryńską z czerwonym kutasem pierwszej rangi drugiego stopnia, motywując to odznaczenie

długoletnią gorliwością ks. Favier w ogłaszaniu religii katolickiej i pracy nad jej rozszerzaniem ku ogólnemu zadowoleniu północnego cesarstwa.

Antyle. Nie mamy jeszcze wiadomości najświeższych z Antyl, które były polem smutnej wojny między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi. Listy jednak pisane na początku tej wojny, dają nam obraz ciężkiego położenia Sióstr Miłosierdzia na Antylach. Oto list Siostry Wizytatorki z Madrytu do Matki Generalnej z dnia 7 maja b. r.:

„Bardzo mię ucieszył Twój list z 5 b. m., którem zaszczyciłaś mnie i uszczęśliwiła tem bardziej, że przyrzekasz nam pomoc i modlitwę wobec groźnej katastrofy, mającej najboleśniej dotknąć kochane nasze Siostry na Kubie i na Filipinach. Z Manilli otrzymałam ostatnią wiadomość z 4 marca od ks. Orriolsa; równocześnie pisała mi także Siostra Florentyna Chasco. Zanim doczekali się tego, co się na nieszczęście dzieje obecnie, nie spodziewali się, żeby rzeczy były doszły tak daleko, jak tu o nich mówią; pisali bowiem, że rząd chce Sióstr dla objęcia jakiejś szkoły normalnej w Jaro i prosili, żeby im je posłać. Takie są ostatnie wieści, jakie mam przez ks. Orriolsa o naszych Siostrach na Filipinach; pomyślne, bo, dodaje, że w obydwóch rodzinach wszystko idzie dobrze.

Dziś, opowiadają u nas, że Cavita już nie istnieje, że Manilla zagrożona. Wobec tego, że tyle gadają, nie mogłam wierzyć wszystkiemu; to też dopiero od Ciebie dowiedziałam się jak rzeczy stoją.

Dziś otrzymałam z Hawanny list, który tu załączam; dowiesz się z niego, co się tam dzieje. Siostry z Porto-Rico również są zagrożone i mówią, że przeprowadzą swych ubogich do innych domów, pewniejszych i mocniejszych.

Co do nas tu, to jesteśmy bezradne. Błagamy Boga, żeby się ulitował nad nami, żeby zasłonił podwójną naszą rodzinę od złego, które jej grozi; ośmielam się i Ciebie prosić o wstawiennictwo do Najświętszej Panny i o westchnienie u grobu błogosł. Ojca. Wszystkiego się spodziewam od Ich opieki; bo, po ludzku sądząc, nie spodziewamy się nic dobrego. Chwała Bogu za wszystko. On nas ochroni od wszystkiego, co nam zagraża, jeżeli to ma posłużyć ku naszemu zbawieniu".

A Siostra Laquidain z Hawanny tak pisze do swej Wizytatorki w Madrycie (19 kwietnia b. r.):

„Jeżeli w każdym poprzednim liście donosiłam Ci same tylko wieści przykre i smutne, tedy w niniejszym muszę Ci powiedzieć, że wszystko jeszcze się znacznie spotęgowało. Najpierw, nowa nagła śmierć: Wczoraj o piątej po południu Siostra Kamila Torres, dostała ataku mózgu w szpitalu Alfonsa XIII i o 10-tej w nocy był z niej trup. Zdołała tylko przyjąć Ostatnie Pomazanie. Była to, dzięki Bogu, dobra Siostra; cierpiała od wielu lat na serce.

A teraz dam Ci małe wyobrażenie o położeniu, w jakiem nas P. Bóg zechciał obecnie postawić; powiadam „małe wyobrażenie", bo wszystko o czem donosi Ci wieść małem jest albo niczem w porównaniu z rzeczywistością. Co mnie obchodzi najbardziej, to nasze Zgromadzenie i ubodzy. Niestety! co za nędza! Siostry płaczą tylko i lamentują nad osobami, które morzy głód tudzież na tem, co jeszcze będzie, co nas jeszcze czeka?

Rodziny uciekają setkami, a ci, co pozostają, mówią tylko o armatach, o bombardowaniu, o dynamicie i t. d. i t. d. Chwilami rodzi się nadzieja; lecz są i dnie tak smutne, że pozostaje nam tylko okrzyk: „Najśw. Panna Niepokalana przyrzekła nam pomoc, połóżmy

w niej całą naszą ufność". Poleciłam przełożonym, żeby się zaprowiantowały, jak tylko będą mogły najlepiej; wielom trzeba dawać pieniędzy na zakupno, bo, niestety, zostały bez środków utrzymania. Wszystko drży na myśl o oblężeniu, bo wobec całkowitego opustoszenia wyspy, co tu kto znajdzie, jeśli nic od zewnątrz nie przyjdzie? Jeżeli wojna ze Stanami Zjednoczonymi wybuchnie (a mówią, już jest wypowiedziana), naówczas Siostry ze szpitali Alfonsa XIII, Dobroczynności, Świętego Łazarza, będą zmuszone porzucić swe domy, jako wystawione na pastwę armat. Może tam jest przy Tobie jaka Siostra, która Ci będzie mogła dać jakie pojęcie o tych domach i wyrazić Ci, ile nas to będzie kosztowało, porzucić te schroniska. „Niech się dzieje wola Boża", to nasza ustawiczna modlitwa strzelista.

Pozostaje jeszcze ten tu dom Najśw. Panny Niepokalanej, wystawiony za cenę tylu trudów i potu, to samo grozi mu niebezpieczeństwo, wszyscy ostrzegają nas o tem. W każdym pokoju, na wszystkich drzwiach i oknach poumieszczałyśmy cudowne Medaliki; wszystkie Siostry wielką powzięły nadzieję i oświadczają, że raczej umrą w tym domu, niż go opuszczą. Ponieważ jednak wszyscy a zwłaszcza ks. Güell, każą nam go opuścić, rozdałam pomiędzy Siostry małe worki, aby napełniły je tem co najniezbędniejsze i były gotowe na dany znak pożegnać to schronienie tak obfitemi skropione łzami. Cóż Ty na to, czcigodna moja Matko, cóż mi powiesz o krzyżu Jezusowym, jaki mi włożył na ramiona?

Jestem pewna, że gorąco się za nas modlicie; bardzo nam tego potrzeba i to jest jedyna pociecha, jaka nam pozostaje pośród tylu przykrości".

Jeszcze w lutym takie były stamtąd wieści (list Siostry Garcia z Mazarra — na Kubie):

„... Trzy klęski, jakich się spodziewałyśmy, padły na nas: wojna, mór i głód. Po tylu okropnościach, jakie nam przyniosła rewolucya, zajrzała teraz do naszych domów i oczu zaraza.

Z wyjątkiem dwóch wszystkie były Siostry chore, po trzy lub cztery na raz; kilka z nich musiałyśmy odesłać w inne okolice, bo febra nie chciała ich opuścić. Nieszczęśliwi ubodzy, nie mogą się ostać przed zarazą, padając jej ofiarą dla braku żywności. Nie można im dać nic więcej prócz trochę zgotowanego ryżu, bo dom utrzymuje się tylko z codziennych dochodów, a w czasie wojny skąd tu co dostać! Dlategoto tylu ich umiera. Nie mamy ich czem okryć, chociaż Siostra wizytatorka z Hiszpanii przysłała nam płótna i sukna w tym celu, lecz to już wyszło i znów będziemy musiały czekać tak długo, jak Pan Bóg zechce.

Nas żywi dom. Już od pięć ćwierci roku nikt nam płacić nie może (podobnie jak innym zakładom), a choć dom nic nie ma, wszystko musimy kupować bardzo drogo i w kiepskim gatunku, zwłaszcza że jesteśmy o cztery mile od mieszkań, w otwartym polu; dlatego to z wielu musimy się łamać trudnościami w nabyciu przedmiotów w życiu codziennem nieodzownych, a nieraz uciec się z prośbą o pomoc do oddziału wojska, który tu kwateruje. Nie skończyłabym, gdybym Ci chciała opowiedzieć choć część przykrości, wśród jakich żyjemy. Niech to, com napisała wystarczy, żebyście się za nas często a gorąco modliły do P. Jezusa i Maryi Niepokalanej“.

Ale oto jeden z listów pisanych w czasie wojny z San Juan de Porto Rico (13 maja) przez ks. Roura do swego Wizytatora, który nas dochodzi w ostatniej chwili:

„Oto, jak cudownej doznaliśmy opieki ukochanego Ojca naszego św. Wincentego. Eskadra amerykańska, złożona z dwunastu okrętów, podpłynęła wczorajszej nocy pod mury fortecy del Morro. Mówią, że nieprzyjaciele, pogasiwszy światło na okręcie, zatknęli nasze flagi hiszpańskie i tak oszukali naszą artylerię.

Poprzednio widziano w pobliżu ogromny parowiec, który kołował w pobliżu portu, żadnej nie wywiesiwszy flagi. Zapytany znakiem o narodowość, wywieszał już to chorągiew francuską, już angielską, a oddalając się lub zbliżając, bałamucił naszych.

Rano, bardzo wczas, dostrzegła straż podejrzane ruchy eskadry nieprzyjacielskiej. Zaledwie dały się słyszeć salwy z naszej fortecy, aliści po kilku sekundach huknęły armaty wrogich okrętów i grad kul sypnął się na miasto.

Natychmiast wypadliśmy z kaplicy. Trudne było nasze zadanie, straszne położenie.

Tuż nad morzem, prawie wprost naprzeciw eskadry ogień ziejącej, stoi pięć domów siostrzyńskich: Dom dobroczynności, mieszczący ogółem tysiąc osób: starców, obłąkanych i dzieci; Ochronka dla starców, gdzie ich jest blisko 300; Szpital wojskowy, w którym mnóstwo rannych; Kolegium św. Ildefonsa, a wreszcie Szkoła z ochronką. Wszędzie woła obowiązek subdyrektora Sióstr, wszędzie chciałoby polecieć serce, pocieszyć te drogie istoty, które Bóg mi powierzył. Idąc za głosem, który mi mówił: p a ś o w c e m o j e, pobiegłem wprost do Szpitala wojskowego, a miłość dodała mi skrzydeł. W drodze wzbudziłem akt żalu i zaofiarowałem Bogu swą duszę. Dobiegłszy tam, już uspokoiłem kilku, i niedbając na odebrane już rany, miałem wypić szklankę herbaty, kiedy nagle dom wstrząsł się gwałtownie, zadrżał i zdawało się, że już, już runie: to granat zerwał dach z kaplicy,

gdzie Siosty klęczały na modlitwie; lecz, o cudo, chociaż były otoczone gruzami, ani jedna nie została skaleczona.

Stąd pobiegłem do Dobroczynności. Musiałem się przedzierać przez zwaliska trzech domów, przemknąć się przed gradem kartaczów.

A tam, co za widok! Zdawało się, że wszystkie granaty na ten dom leciały. A z ludźmi co? Jedni popchali się w głąb piwnic, obłąkani, przeciwnie, chcieli wiedzieć, co im posyła, jak powiadali, Ojciec Niebieski. Byli do tego stopnia skonsternowani, że jeden wołał: „Jezus nas woła do siebie“, drugi: „Jezus idzie na sąd!“ Odesłano wszystkich zaraz do pobliskiej wsi. Gorzej z kobietami waryatkami. Jedna tańczy na ulicy, druga przeklina przechodniów. A gdzie je tu schronić, nikt biedaczek nie chce.

Patrz księże, dobry mój Boże, trzy zaszły w tej chwili dziwne wypadki, zdolne każdemu łzy wdzięczności wycisnąć. Tuż obok siostry Florencyi przelatuje płonący pocisk; oblał ją oślepiającym blaskiem, wszystko na miazgę zgruchotał co było dokoła niej, a jej — nić a nic się nie stało. Granat, narobiwszy dużo spustoszenia w mieszkaniach obłąkanych, zwaliwszy jedną ścianę, popadł do zakrystyi. Według powziętego kierunku miał zdruzgotać na drzazgi tabernakulum, mieszczącą najśw. Sakrament; lecz oto, dotknąwszy ściany przytułku Jezusowego, spada na ziemię. Ktoś, sądząc po ludzku, powie, że to tłumaczy się tem, że siła pocisku w tej chwili ustała, lecz ja upatruję w tem niewidoczny dla oczu naszych palec Boży; bo i w zakrystyi, o krok do kaplicy, zadrasnął tylko i skrzywił jeden kielich. A wreszcie trzecie zadziwiające zjawisko to, że waryaci, kiedy płomienie ogarnęły mieszkanie, spokojnie pracowali nad

ich ugaszeniem, oni, którzy kiedyindziej chybaby go byli tylko jeszcze rozdmuchiwali.

Z Dobroczynności pospieszyłem do Ochronki miejskiej. I tu widoczną bardzo była opieka ś. Wincentego. Wszyscy ubodzy obojej płci zgromadzili się wraz z Siostrami w kaplicy, wołając za każdym wystrzałem armatnim: „Jezu, zmiłuj się nad nami". Kartacz przebił mur i dużo narobił szkody w mieszkaniach, ale na szczęście, nikogo tam nie było. Nocy następnej przedarli się tym otworém złodzieje do wnętrza, ale dostrzeżeni, uszli z niczem.

W kolegium ś. Ildefonsa zastałem także wszystko zgromadzone w kaplicy.

Również i ochronka Mùtuo, doznała widocznej opieki ś. Wincentego. Kartacz pęka w powietrzu, a jedna część jego, zdolna zmiażdżyć każdego kogoby napotkała, padłszy u stóp siostry Łucyi, nie opaliła nawet jej szaty.

Misyonarze, Siostry, ubodzy powierzeni naszej pieczy, wszyscy ocaleli z tego strasznego bombardowania, podobnie jak wszystko, co do nas należało".

ZMARLI:

Robert Devine, kapłan, 24 lat życia, 7 powołania, † 1 marca w Germantown (prow. Stany Zjednoczone).

Oliver Rissel, kapłan, 78 lat życia, 38 pow., † 23 marca w Rennes (Touraine).

Innocenty Gomez, kapłan, 74 lat życia, 42 pow., † 19 marca w Milagros (Hiszpania).

Tomasz Murphy, kapłan, 72 lat życia, 52 pow., † 26 marca w Mill-Hill (Irlandya).

Piotr Héard, kapłan, 71 lat życia, 36 pow., † 31 marca w La Teppe (Lion).

Jan Talley, kapłan, 56 lat życia, 31 pow., † 28 marca w Niagara (Stany Zjednoczone).

Antoni Sanna, brat, 51 lat życia, 15 pow., † 27 kwietnia w Cagliari (Lombardya).

Piotr Jean-François, kapłan, 27 lat życia, 4 pow., † 6 maja w La Rochelle (Akwitania).

Jan Cizek, kapłan, 32 lat życia, 13 pow., † 22 maja w Gracu (Austrya).

Fidelis Rojo, kleryk, 25 lat życia, 9 pow., † 2 czerwca w Tardajos (Hiszpania).

Dyonizyusz Dubulle, kapłan, 72 lat życia, 41 pow., † 22 czerwca w Cavalla (Konstantynopol).

Ignacy Urge, kapłan, 58 lat życia, 29 pow., † w lipcu w Kia-Shinton (Chiny).

Daniel Kerin, brat, 76 lat życia, 43 pow. † 11 lipca w Niagarze (Stany Zjednoczone).

Józef Navinsch, kapłan, 27 lat życia, 11 pow., † 19 lipca w Gracu (Austrya).

Dominik Toran, kleryk, 20 lat życia, 4 pow., † 14 marca, w Madrycie, (Hiszpania).

Amadeusz Terrafiat, kapłan., 70 lat życia, 33 pow., † 27 lipca w Limona (Languedok).

Tcheng, kapłan, † w lipcu (Chiny).

Antoni Cladera, kapłan, 59 lat życia, 35 pow., † 3 sierpnia, Palma (Majorka).

Franciszek Lackner, brat, 61 lat życia, 42 pow., † 5 sierpnia w Wiedniu (Austrya).

Klaudyusz Bénech, kapłan, 77 lat życia, 57 pow., † w sierpniu w Santiago (Chili).

Tymoteusz Elorriaga, kleryk, 21 lat życia, 4 pow., † 16 sierpnia w Madrycie (Hiszpania).

Rafał Confalone, kapłan, 68 lat życia, 25 pow. † w Neapolu 17-go sierpnia.

Gwido Guillamne, kapłan, 70 lat życia, 43 pow., † 2 września w Amiens (Pikardya).

Alfons Conture, kapłan, 74 lat życia, 42 pow., † 2 września w Tours (Touraine).

Eugeniusz Reynes, kleryk, 20 lat życia, 3 pow., † 14 września w Paryżu (Francya).

Kajetan Bellarini, kapłan, 69 lat życia, 52 pow., † 11 września w Vergini (Neapol).

SPIS RZECZY

zawartych w „Rocznikach“ Roku IV (1898).

Wyszło świeżo z druku i jest do nabycia u XX. Misyonarzy (Kraków — Kleparz).

MIESIĄC ANIOŁÓW.

Napisał ks. Stanisław Ulanecki Misyonarz.

Cena egzemplarza oprawnego **50** centów, nieoprawnego **35** centów.

Kraków, — W drukarni Uniwersyteckiej, pod zarządem Józefa Filipowskiego.